Rok XL Nr e-231 (427) Styczeń 2026

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy

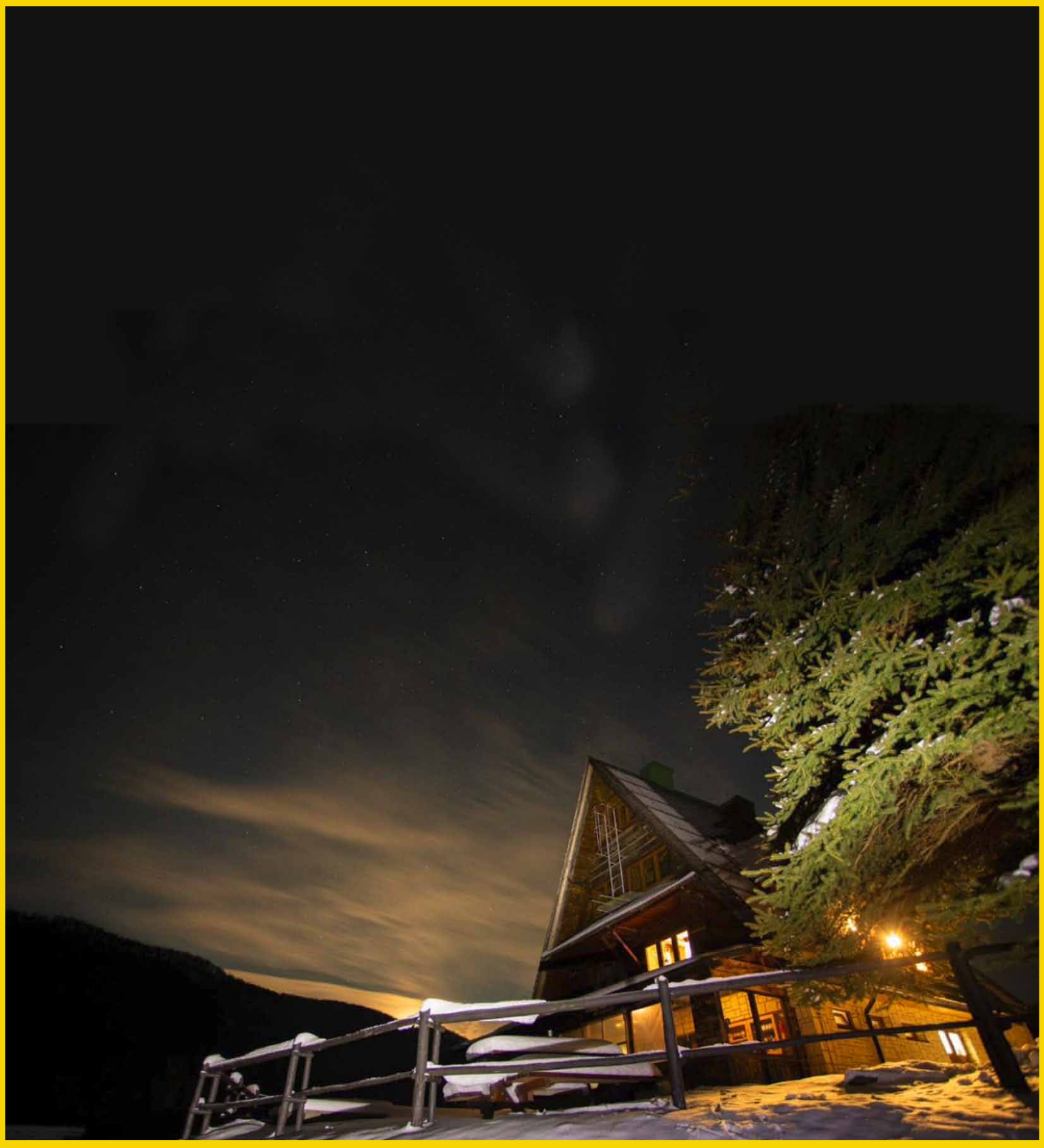

Więcej gazet za darmo na http://t.me/m4open

SPIS TREŚCI – STYCZEŃ 2026

Z NASZEGO REGIONU

Strzegomskie kamieniołomy . . . *Krzysztof Gdula* . . . 3
Kamień z granicy pola górniczego kopalni Aurora w Szczepanowie . . . *Marian Gabrowski* . . . 6
Jeszcze raz o lokalizacji FAL Liebau, filii obozu Gross-Rosen w dzisiejszej Lubawce . . . *Marian Gabrowski* . . . 9
Dzwony w starej wieży kościelnej w Radomierzu . . . *Ullrich Junker* . . . 12
Autobusem PKS do Wałbrzycha i z Wałbrzycha w styczniu 1953 r. . . . *Bartosz Skowroński* . . . 15
Barokizacja na Dolnym Śląsku (9) . . . *Edmund Całus* . . . 17
Witraże wrocławskich kościołów (4) . . . *Danuta Lesiów, Martyna Michniewicz, Tomasz Lesiów* . . . 19

CYTAT MIESIĄCA . . . *Juliusz Wysłouch* . . . 22

OJCZYSTE SZLAKI

Schronisko PTTK Murowaniec na Hali Gąsienicowej w Tatrach ma już 100 lat . . . *Krzysztof Tęcza* . . . 23
Nowa tablica na Diablaku . . . *Juliusz Wysłouch* . . . 26

26. SPOTKANIE ŚLADOWE „NA SZLAKU” . . . *Juliusz Wysłouch* . . . 26

TRASA MIESIĄCA

Wokół iwonickiego Zdroju . . . *Mirosław J. Barański* . . . 27

WYGODNIE I BEZPIECZNIE

TOPR – Taksówkowa Obsługa Przerażonych Roszczeniowców i wrażenia z początku sezonu zimowego . . . *Juliusz Wysłouch* . . . 32

GLOBTROTER

Spacer Wąwozem Wielki Sokół . . . *Krzysztof Tęcza* . . . 34
Alpy (5) – z Chamonix na Aiquille du Midi (3842 m) . . . *Krzysztof Tęcza* . . . 36
U wylotu Rodanu (5) . . . *Mirosław J. Barański* . . . 40
Odkryj ukryte piękno Wschodniej Türkiye (Turcji) tej zimy . . . *Biuro prasowe Biura Radcy ds. Kultury i Informacji Ambasady Turcji w Polsce* . . . 44
Cumańska Puszcza . . . *Janusz Fuksa* . . . 46

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

45. spacer historyczno-krajoznawczy – do Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego . . . *Krzysztof Tęcza* . . . 47
47. wycieczka Rajdu na Raty 2025 – w Góry Kaczawskie . . . *Krzysztof Tęcza* . . . 50
Sympozjum Górskie i spotkanie przedstawicieli klubów 2025 . . . *Juliusz Wysłouch* . . . 52
Podsumowanie 55. edycji Rajdu na Raty . . . *Krzysztof Tęcza* . . . 53
Tydzień z muzeum – dzień piąty . . . *Krzysztof Tęcza* . . . 55
Wiadomości o Dolnym Śląsku z 1947 r. (55) . . . *Józef Sykulski* . . . 57

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Zawstydzony Mikołaj Zyblikiewicz . . . *Ryszard M. Remiszewski* . . . 58
Wywiad z Waldemarem Ochodkiem – szefem Bacówki PTTK w Jaworcu . . . *Sebastian Jakobschy* . . . 60
Schronisko pod Baranią Górą rodzinnym domem Zdzisława Gasza . . . *Krzysztof Tęcza* . . . 53
Tydzień z muzeum – dzień piąty . . . *Krzysztof Tęcza* . . . 63
Ograbiony z dzieciństwa – wspomnienie dziesięciolatka o pacyfikacji kopalni „Wujek” . . . *Maciej Mischok* . . . 65

RECENZJE I NOWOŚCI

Życie na zamku (pałacu) – wspomnienia córki von Tiele-Wincklera z Mosznej . . . *Maciej Mischok* . . . 68

SUDETY W POEZJI (37) . . . *Łucja Danielewska* . . . 69

Na okładce: Bacówka PTTK „Jaworzec” w Biszczadach zimową porą. ***Fot. Archiwum bacówki***

Strzegomskie kamieniołomy

Miasto stoi na granicie w obu znaczeniach tego wyrażenia – dosłownym i przenośnym. Fundamenty domów stoją na granitowych skałach, a wielu jego mieszkańcu zarabia na życie łamaniem i dobywaniem tego kamienia z okolicznych gór. Chyba nigdzie w Polsce nie znajdzie się tak wielu zakładów kamieniarskich jak w tym mieście. Są ich dziesiątki – od małych, rzemieślniczych zakładów wytwarzających nagrobki, pomniki i drobną galanterię, po duże zakłady przemysłowe, gdzie w huku wielkich maszyn produkuje się najróżniejsze kostki i płyty granitowe do budowy chodników, jezdni, elewacji, schodów, posadzek, ogrodzeń, parapetów i zapewne do wielu innych zastosowań.

Granit powstaje z wolno stygnącej wewnątrz Ziemi magmy, tej samej, która po wylaniu się na powierzchnię jako lawa szybko zastyga w czarny bazalt. Jednak w stygnącym powoli i pod ciśnieniem granicie mają czas i warunki wykształcić się kryształy minerałów, na przykład miki, dzięki którym kamień po wyszlifowaniu ma połyskliwą ładną fakturę, którą chyba wszyscy znają z bytności na grobach swoich bliskich, jako że jest często wykorzystywany do budowy nagrobków.

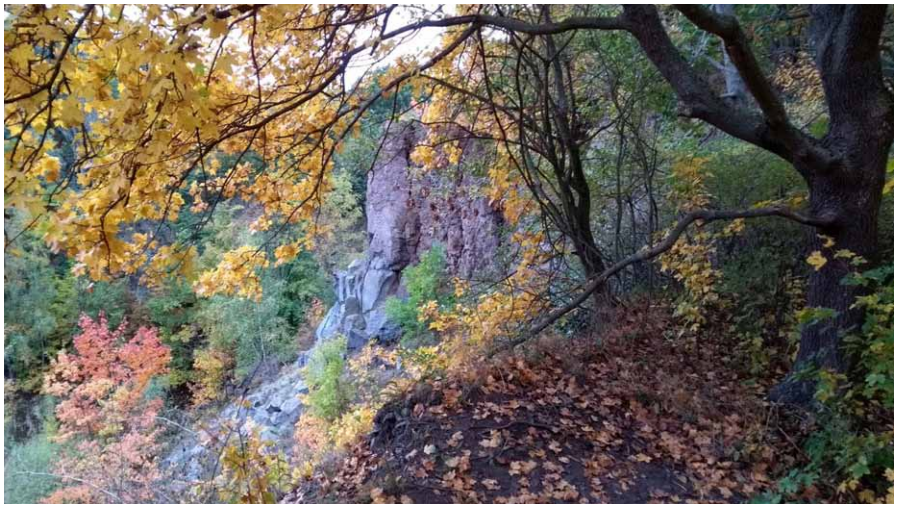

Stary kamieniołom

Kopalnia Żbik

Ilekroć przejeżdżałem przez Strzegom, obiecałem sobie zobaczyć z bliska kopalnie granitu, ale zawsze zwyciężały górki sudeckie. Dopiero teraz, w czasie jesiennego urlopu (emeryt ma wielki przywilej niedostępny osobom pracującym: sam ustala kiedy i ile przydzieli sobie urlopu), pojechałem do drugiej, obok Strzelina, stolicy polskiego granitu. Przyznam się jednak do wspomożenia mojej decyzji deszczową aurą, która w dziwny sposób pasowała mi do kamieniołomów. Zauważyłem, nota bene, że kamień nie tyle się tam łamie (chociaż też), co raczej rozcina specjalnymi piłami.

Widziałem kilka kopalni, a pierwszą i najstarszą, jak się później dowiedziałem, była kopalnia Barcz. Jest wielką dziurą w zboczu masywu grupującego kilka szczytów, a usytuowanego na brzegu miasta; najbliższe kopalni jest Młyńskie Wzgórze. Może słowo o tym wzgórzu: są na nim starannie urządzone miejsca wypoczynku z widokami na miasto oraz duży i wielce urozmaicony tor rowerowy z przeszkodami. Oglądając skocznie na tym torze dziwiłem się, jak można przez nie przejechać rowerem nie łamiąc kości i kół, ale chyba jednak można.

Kopalnia Barcz – ściany wyrobiska

Blisko toru jest krawędź urwiska utworzonego działalnością kopalni. Stojąc tam, a miejsce jest ładne nie tylko widokami ale i malowniczymi drzewami, widać ogromne pionowe ściany opadające w głąb wyrobiska które wydaje się nie mieć dna. Cała ta wielka dziura wykuta jest w górze zbudowanej z granitowego monolitu. Jeśli dobrze się przyjrzeć, widać tam ludzi wielkością podobnych do mrówek, i właśnie ten kontrast między ogromem odsłoniętego wnętrza góry i znikomością człowieka czyni największe wrażenie; wszak ta kopalnia, z której wywieziono miliony ton skał, jest dziełem tych mrówek. Widziałem zaczepianie lin do oddzielonego od masywu skalnego bloku wielkości samochodu, i jego podnoszenie na poziom zerowy. Widziałem, jak wielka ładowarka ugięła się pod ciężarem przejmując ładunek. W innym miejscu patrzyłem na stosy tych bloków; widziałem, jak obniżyła się trzyosiowa naczepa przygnieciona załadowanym na nią wielotonowym blokiem granitu. A góra, niewielka przecież, nawet nie zauważyła tego ubytku, jak i Sahara nie zauważy zabrania jej garści piasku.

Ścieżka nad kopalnią Barcz

Kamieniołom Żółkiewka, maszyny mielące i segregujące granitowy gruz

W kopalni Żółkiewka obserwowałem pracę maszyn mielących odpadowe kawałki granitu i segregujących kruszywo według ziarnistości. Właśnie takim drobnym tłuczniem utwardza się drogi zwane szutrowymi, używany też jest do zdobienia posesji wokół domów. Nic się tam nie zmarnuje.

Na Górze Świętego Jerzego oglądałem stary, zarośnięty kamieniołom – jeden z wielu takich w okolicach Strzegomia. Jest w końcowej fazie samoistnej przemiany ze zdegradowanego ekologicznie terenu w ładne, zielone, dzikie i urozmaicone miejsce spacerów, odpoczynku i obserwowania natury. Dla ścisłości dodam tutaj ważną uwagę: otóż szybkość zabliźniania ran w miejscach poprzemysłowych nie jest jednakowa i zależy od wielu czynników. W kamieniołomach ta szybkość jest znaczna ponieważ nie ma w nich odpadów chemicznych, a dodatkowym czynnikiem sprzyjającym jest szybko pojawiająca się woda oraz łatwość zasiedlania rozkruszonych skał przez wiele roślin – od brzóz do uroczych i tajemniczych storczyków.

Kamieniołom Żółkiewka, bloki granitu

Widok stert, dosłownie stert zużytych wielkich opon, uszkodzonych węży hydraulicznych i pustych opakowań po olejach uświadomił mi koszt wydobycia, przewożenia i przerobu granitu oraz ilość zużywanej w tych procesach energii. Mam nadzieję na wywiezienie tych odpadów we właściwe miejsca.

Kopalnia Graniczna

Największą kopalnią w okolicy jest Kopalnia Graniczna. Jeździłem wokół jej terenu szukając miejsca nie oznaczonego zakazem wjazdu i wejścia, ale nie znalazłem takiego. Chciałem chociaż spojrzeć z bliska na ten olbrzymi dół wykopany w zboczu góry. Zaparkowałem na szutrówce biegnącej wzdłuż wału okalającego kopalnię, wdrapałem się na szczyt i z niego udało mi się zobaczyć kopalnię. Swoim zwyczajem odruchowo oszacowałem pojemność wyrobiska uznając, że wywieziono z niego trzy, może cztery miliony metrów sześciennych kamienia. Ile to jest? To 300 albo 400 tysięcy w pełni załadowanych wielkich ciężarówek.

Ścieżka rowerowa i miasto, widok z Młyńskiego Wzgórza

Niemal cały dzień padał deszcz, na szczęście niewielki. Wiatrówka nie przemokła, a ja w końcu zobaczyłem strzegomskie kamieniołomy.

Opisy moich górskich wędrówek, uzupełnione zdjęciami, są w dwóch książkach dostępnych w wielu księgarniach internetowych. To „Sudeckie wędrówki” i „Góry Kaczawskie słowem malowane”.

Krzysztof Gdula

Kamień z granicy pola górniczego kopalni Aurora w Szczepanowie

W listopadzie 2024 roku w piśmie „Na Szlaku” opisywałem cysterski kamień graniczny, jaki możemy zobaczyć przy wejściu do muzeum w przygranicznym czeskim miasteczku Žacléř[1]. Niegdyś wyznaczał on granice dóbr klasztoru mającego swoją siedzibę w leżącym na Dolnym Śląsku Krzeszowie. Warto jednak wspomnieć, że w zbiorach tego samego muzeum znajduje się jeszcze jeden piaskowcowy słupek, którego dzieje również ściśle wiążą się z ziemiami położonymi po śląskiej stronie granicy.

Kamień ten odnajdziemy w sali poświęconej górniczej historii Žacléřa. Ponieważ w okolicy przez długi czas prowadzono na dużą skalę wydobycie węgla, zgromadzono tu liczne, naprawdę interesujące eksponaty. W ich bogactwie łatwo jednak przeoczyć stojący w samym rogu niepozorny granicznik.

Jest to piaskowcowy słupek gruby na 19 cm, szeroki na 31 cm, a widoczna jego wysokość to 50 cm. Dolną część, przeznaczoną do zakopania w ziemi, obrobiono jedynie zgrubnie. Na zaokrąglonym wierzchołku wyryto charakterystyczny dla znaków granicznych krzyż. Z przodu kamienia nieco asymetrycznie wykuto skrzyżowane narzędzia górnicze: pyrlik i żelazko. Skierowane obuchami ku górze są symbolem funkcjonującej kopalni. Poniżej znajdują się dwa wyrazy: *Aurora Grube*. Z kolei z tyłu słupka widnieje jedynie liczba *1856*. Ponieważ w języku niemieckim *Grube* znaczy „kopalnia”, dlatego należałoby uznać, że jest to kamień wyznaczający granice pola górniczego, jakie w 1856 roku nadano kopalni o nazwie Aurora.

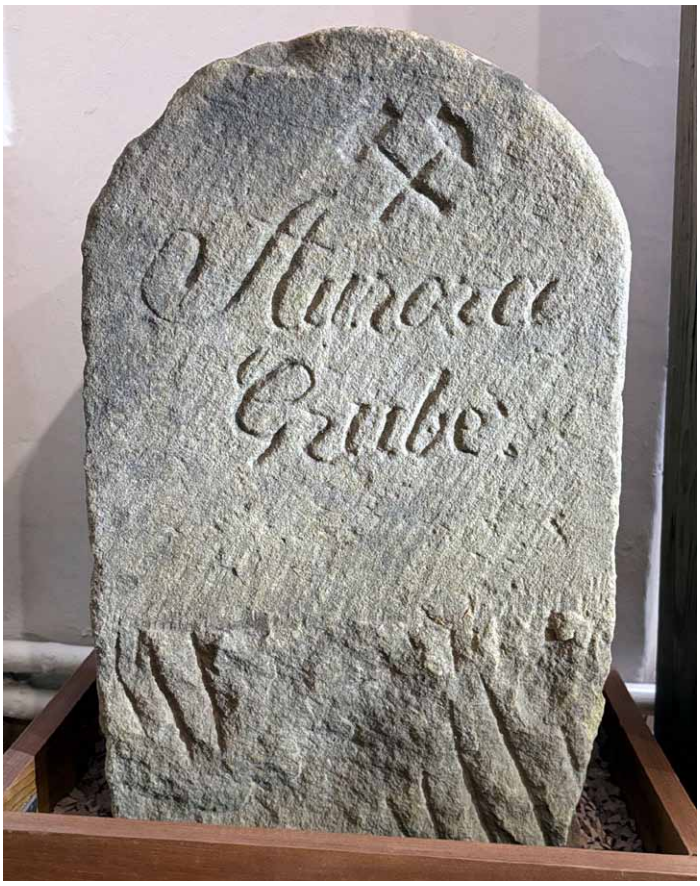

**Kamień z napisem Aurora Grube.
Zdjęcie: Marian Gabrowski, sierpień 2024**

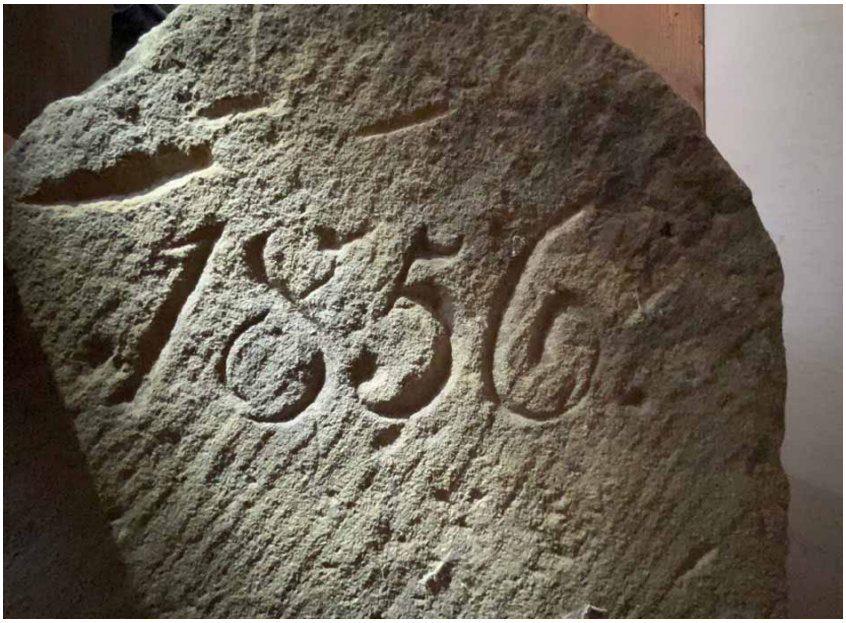

**Liczba 1856 wyryta z tyłu kamienia.
Zdjęcie: Marian Gabrowski, sierpień 2024**

Znając te informacje, łatwo ustalić, że chodzi tu o kopalnię Aurora działającą w leżącym po śląskiej stronie granicy Szczepanowie, której pole górnicze nadane zostało 24 grudnia 1856 roku[2]. Pierwsze próby eksploatacji węgla podjął tu magistrat miasta Kowary, a najstarsze informacje o niewielkim wydobyciu datowane są na rok 1858. Ponowną próbę uruchomienia kopalni podjęli w latach 1881-1884 prywatni inwestorzy, jednak bez sukcesu. Niepowodzeniem zakończyły się także próby wznowienia wydobycia podejmowane w latach 1922-1927. Problemem była niewielka grubość pokładu i liczne zaburzenia w jego przebiegu, co w połączeniu z niewielkim obszarem złoża i niewystarczającymi środkami uniemożliwiało pomyślną eksploatację[3].

Ostatnią próbę podjęto w latach 1936-1937, kiedy to trzech zatrudnionych pod ziemią górników wydobyło łącznie 288 ton węgla kamiennego. Grubość eksploatowanego pokładu wynosiła zaledwie 40 cm,

udostępniony był on za pomocą sztolni. W 1938 roku kopalnia ponownie była zamknięta[4].

Na archiwalnej mapie topograficznej[5] można zlokalizować zarówno wyrobisko opisane jako *Aurora Grube*, jak i wyrobisko pomocnicze sąsiadujące z cegielnią *Mangersche Ziegelei*. Wynika stąd, że kopalnia znajdowała się tuż przy granicy państwowej, w odległości około 2 km od centrum wioski Szczepanów (niem. *Tschöpsdorf*). Uzasadnione wydaje się też podejrzenie, że część wydobywanego węgla zużywano przy wypalaniu cegieł w tutejszej cegielni[6].

Z kolei „Słownik geografii turystycznej Sudetów" w opisie Szczepanowa na temat kopalni Aurora wspomina: *Jej główny szyb znajdował się w zakątku przy granicy na południowy-zachód od wsi, w pobliżu cegielni. Potem powstały następne szyby koło wsi, a nawet w jej dolnym końcu*[7].

Warto tu jednak zwrócić uwagę na fakt, że kopalnia Aurora prawdopodobnie nie posiadała szybów, a pokłady węgla eksploatowano za pomocą sztolni. Dodatkowo z archiwalnej mapy górniczej[8] wynika, że niewielkie pole górnicze kopalni Aurora wciśnięte było pomiędzy olbrzymie pole Lubawskiego Towarzystwa Węglowego (niem. *Liebauer Kohlen-Verein*) oraz granicę państwową. Miało ono około 60 hektarów powierzchni, z czego 7 hektarów znajdowało się na terenie miejscowości Opawa, a pozostała część na terenie Szczepanowa. Oznacza to, że pole nie sięgało aż do zabudowań Szczepanowa, dlatego też wyrobiska zlokalizowane w sąsiedztwie wioski prawdopodobnie były częścią innego przedsięwzięcia. Mogła to być np. kopalnia węgla kamiennego *Der Panther*, której w 1860 roku nadano pole górnicze w Szczepanowie[9]. Jednak nigdy nie natrafiłem na informację dotyczącą jej lokalizacji.

Można też zauważyć, że przywołana wcześniej mapa pól górniczych na terenie Opawy ukazuje jedynie fragmenty

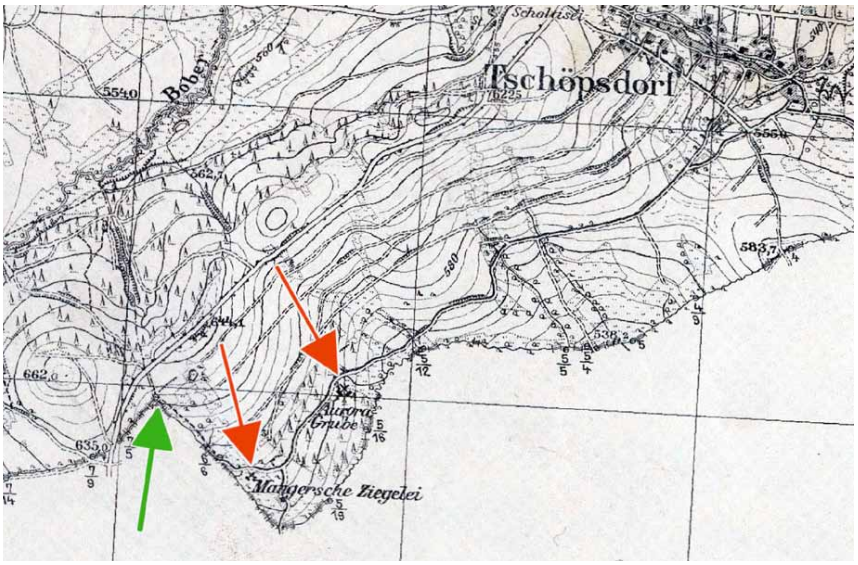

Fragment archiwalnej mapy topograficznej z zaznaczonymi wyrobiskami kopalni Aurora (strzałki czerwone) oraz miejscem znalezienia kamienia granicznego (strzałka zielona)

Fragment mapy geologicznej z zaznaczonym polem górniczym Aurora, opisanym numerem 18. Zielona strzałka wskazuje miejsce znalezienia kamienia granicznego

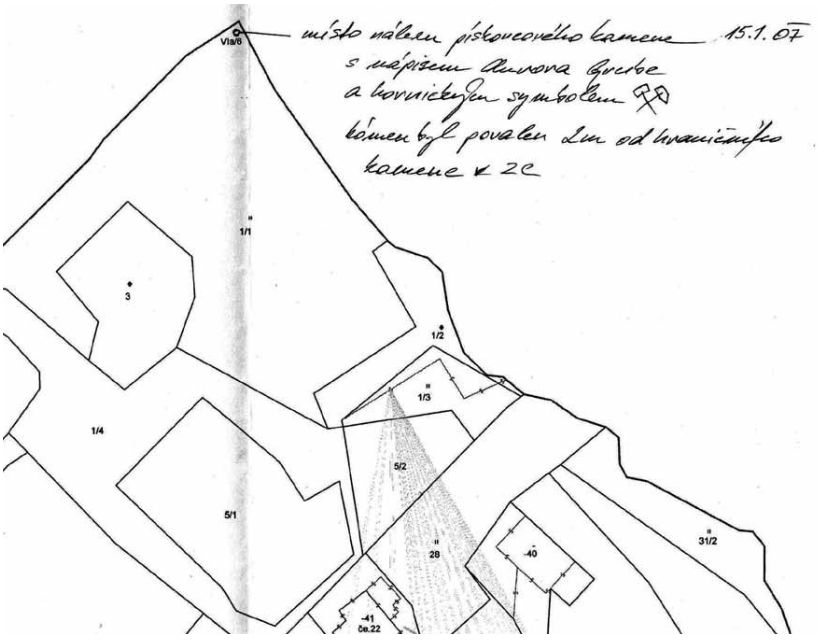

Mapka ukazująca miejsce odnalezienia kamienia granicznego. Źródło: Městské muzeum Žacléř

pól Aurora, Liebauer Kohlen-Verein i Graf Chotek. Natomiast z innych źródeł wynika, że znajdowały się tu też pola nadane kopalniom o nazwach Gross oraz Müller[10], jednak ich lokalizacja nie jest mi znana. Być może zostały one włączone w obszar przypisany później Lubawskiemu Towarzystwu Węglowemu?

Wróćmy jednak do kamienia granicznego z 1856 roku i zastanówmy się, jak to się stało, że trafił on do Czech? Zapytałem o to bezpośrednio w muzeum w Žacléřu, a jego dyrektor, pani Eva Rennerová, udzieliła mi następującej odpowiedzi: *Znak kopalni Aurora Grube został dostarczony do naszego muzeum przez ówczesnego dyrektora muzeum, pana Daniela Macha, w styczniu 2007 roku. Przewrócony kamień został znaleziony na działce nr 1/1 na obszarze katastralnym Černá Voda, 2 m od granicy*[11].

Do odpowiedzi załączono fragment mapy katastralnej z precyzyjnie wskazanym miejscem odnalezienia, a także zdjęcie przedstawiające przewrócony kamień leżący przy słupku granicy państwowej.

Wynika stąd, że kamień z napisem *Aurora Grube* odnaleziony został na charakterystycznym załamaniu granicy państwowej. Co ciekawe, dokładnie na tym samym załamaniu zarówno niegdyś, jak i współcześnie graniczą ze sobą wioski Opawa oraz Szczepanów. Z kolei archiwalna mapa górnicza pokazuje, że w tym miejscu granica pola górniczego Aurora pokrywała się z granicą państwową. Tak więc słupek odnaleziony został co najwyżej dwa metry od granicy wyznaczonego w 1856 roku pola górniczego.

Kamień graniczny kopalni Aurora w momencie jego odnalezienia w 2007 roku. Zdjęcie: Městské muzeum Žacléř

Niewątpliwie opisany w artykule kamień graniczny stanowi interesującą pamiątkę górniczej przeszłości tych ziem. Warto dodać, że po kopalni Aurora przetrwały do dziś również podziemne wyrobiska. Choć bywają odwiedzane przez eksploratorów, to stan zachowania chodników, widoczny na nagraniach, jednoznacznie pokazuje, że wchodzenie do nich jest niebezpieczne.

Marian Gabrowski

Przypisy

1 M. Gabrowski, *Cysterski kamień graniczny z muzeum w czeskim mieście Žacléř*, [w:] „Na Szlaku”, nr 11/2024, s. 19-23.

2 J. Jaros, *Słownik historyczny kopalń węgla na ziemiach polskich*, Katowice 1984, s. 123.

3 E. Kunick, *Der Bergbau im Kreise Landeshut*, [w:] „Heimatbuch des Kreises Landeshut”, Landeshut 1929, s. 473.

4 *Die schlesischen Bergwerke 1938*, Breslau 1938, s. 37.

5 *Meßtischblatt, arkusz 5361 Tschöpsdorf*, rok 1936.

6 A. Traczyk, *Wydobycie węgla kamiennego w okolicach Lubawki*, [w:] „Biuletyn XV Dnia Geomorfologa” 23-24.11.2019, s. 8.

7 M. Staffa (red.), *Słownik geografii turystycznej Sudetów, tom 8*, Wrocław 1997, s. 312.

8 *Bergwerksbesitz- und Flözübersichts-Karte von dem niederschlesisch-böhmischen Steinkohlenbecken*, [w:] „Der Waldenburg-Neuroder Industriebezirk. Band III der Festschrift zum XII. Allgemeinen Deutschen Bergmannstage in Breslau 1913”, Waldenburg 1913.

9 *Aus dem Vereinsdistricte*, [w:] „Wochenschrift des Schlesischen Vereins für Berg- und Hüttenwesen”, nr 30/1860, s. 233.

10 *Adressbuch der Gruben, Hütten, Maschinenfabriken und mechan. Werkstätten und techn. Bureaux in Deutschland und der oest.-ung. Monarchie*, Leipzig 1876, s. 152.

11 Fragment korespondencji e-mail z dnia 24 września 2025 roku.

Jeszcze raz o lokalizacji FAL Liebau, filii obozu Gross-Rosen w dzisiejszej Lubawce

W jednym z ubiegłorocznych numerów pisma „Na Szlaku” opisywałem lokalizację FAL Liebau, czyli filii niemieckiego obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, która w czasie drugiej wojny światowej funkcjonowała na terenie dzisiejszej Lubawki. Stwierdzałem wówczas, że obóz ten umiejscowiony był przy ul. Mickiewicza i składał się z dwóch części: w jednej znajdowały się istniejące do dziś budynki murowane, a w drugiej drewniane baraki, po których współcześnie nie ma już żadnego śladu[1].

Jednakże w zbiorach Muzeum Gross-Rosen w Wałbrzychu znajduje się dokument, który wskazuje na inną lokalizację obozu. Jest to sporządzona w 1984 roku notatka z rozmowy z pracownikiem Urzędu Miasta i Gminy oraz kierownikiem magazynów Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Miejskiej. Treść dokumentu brzmi następująco:

Na terenie Lubawki podobóz Gross-Rosen mieścił się w trzech miejscach: na terenie obecnych magazynów PGKiM, za torami oraz za stadionem.

Do dnia dzisiejszego zachowały się zabudowania gospodarcze podobozu wykorzystywane obecnie jako magazyny PGKiM. Kierownik tych magazynów twierdzi, że w czasie istnienia podobozu mieścił się tutaj warsztat mechaniczno-samochodowy oraz pralnia. Obok tych zabudowań na pobliskiej łące są wyraźne pozostałości po fundamentach dwóch zabudowań. W tych miejscach znajdowały się baraki zamieszkiwane przez więźniarki.

W pobliżu mieści się cmentarz, na którym jest 10 grobów zmarłych więźniarek. Na każdym umieszczona jest tabliczka z imieniem, nazwiskiem i wiekiem zmarłej oraz napisem „... zamordowana w obozie koncentracyjnym”[2].

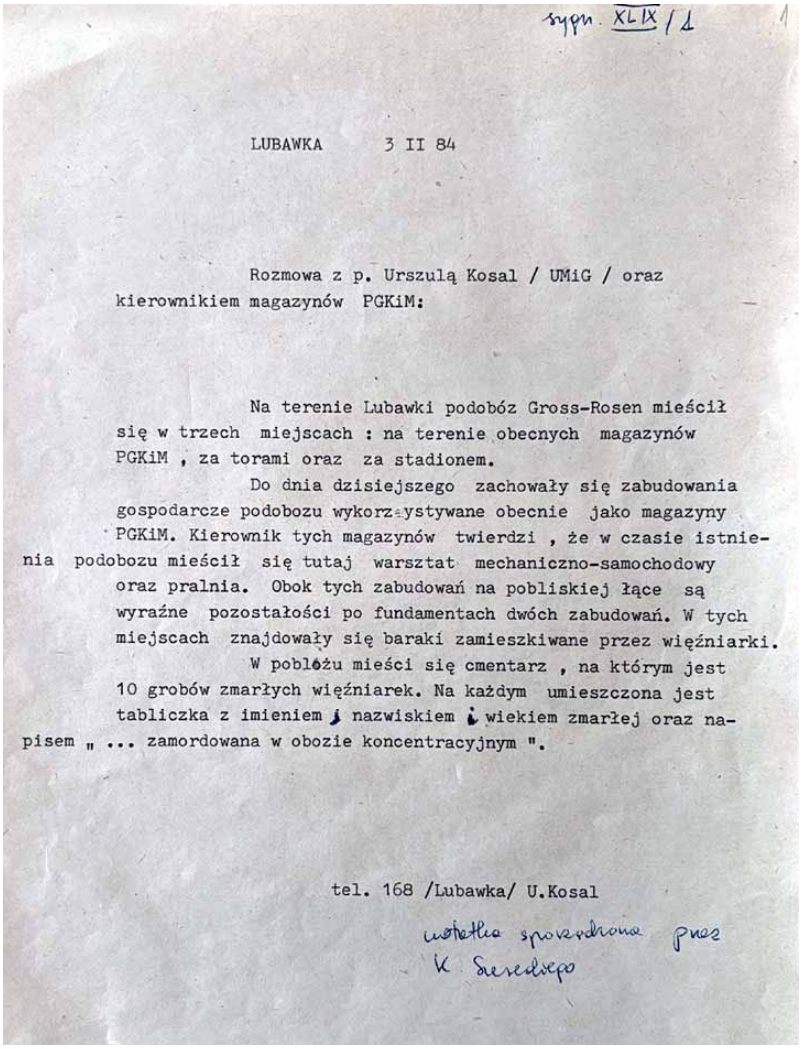

sygn. XLIX/1

LUBAWKA 3 II 84

Rozmowa z p. Urszulą Kosal / UMiG / oraz kierownikiem magazynów PGKiM:

Na terenie Lubawki podobóz Gross-Rosen mieścił się w trzech miejscach : na terenie obecnych magazynów PGKiM , za torami oraz za stadionem.

Do dnia dzisiejszego zachowały się zabudowania gospodarcze podobozu wykorzystywane obecnie jako magazyny PGKiM. Kierownik tych magazynów twierdzi , że w czasie istnienia podobozu mieścił się tutaj warsztat mechaniczno-samochodowy oraz pralnia. Obok tych zabudowań na pobliskiej łące są wyraźne pozostałości po fundamentach dwóch zabudowań. W tych miejscach znajdowały się baraki zamieszkiwane przez więźniarki.

W pobliżu mieści się cmentarz , na którym jest 10 grobów zmarłych więźniarek. Na każdym umieszczona jest tabliczka z imieniem , nazwiskiem i wiekiem zmarłej oraz napisem „ ... zamordowana w obozie koncentracyjnym ".

tel. 168 /Lubawka/ U.Kosal

notatka sporządzona przez K Średzkiego

Relacja dotycząca trzech lokalizacji podobozu Gross-Rosen w Lubawce. Źródło: Muzeum Gross-Rosen w Wałbrzychu

Relacja ta stoi w sprzeczności z przedstawionymi przeze mnie ustaleniami. Warto więc szczegółowo przeanalizować zawarte w niej informacje.

Pismo z 1984 roku zobaczyłem po raz pierwszy w 2022 roku. Eran Mor, syn jednej z więźniarek FAL Liebau, natknął się na nie w muzeum i zapytał mnie o możliwość ustalenia wspomnianych tu lokalizacji[3]. Skontaktowałem się więc wówczas z Henrykiem Kmiecikiem, mieszkańcem Lubawki interesującym się historią miasta. Okazało się, że miał on pewną wiedzę na ten temat, gdyż niegdyś pracował w PGKiM razem z człowiekiem, który podczas wojny został wywieziony do niemieckiego podówczas Liebau na roboty przymusowe. Henryki Kmiecik wielokrotnie dyskutował z nim o czasach wojennych, a jego rozmówca faktycznie wspominał o trzech obozach na terenie miasta: za stadionem sportowym (czyli przy dzisiejszej ul. Mickiewicza), za torami (czyli za linią kolejową koło dawnej strzelnicy) oraz w pobliżu cmentarza, w zabudowaniach dawnych magazynów PGKiM.

Tablica na mogile zbiorowej więźniarek z FAL Liebau. Wszystkie współczesne zdjęcia: Marian Gabrowski

Dodatkowo znane mi są także relacje innych mieszkańców Lubawki, którzy potwierdzają, że po wojnie znajdowały się w tych miejscach budynki przypisywane obozom z lat wojny. Zastanawia jednak fakt, że więźniarki FAL Liebau w swoich zeznaniach stwierdzają, że były zakwaterowane jedynie przy dzisiejszej ul. Mickiewicza.

Spróbujmy więc wyjaśnić powyższe rozbieżności. W przywołanej wcześniej notatce na temat obozu przy magazynach PGKiM stwierdzono: *W pobliżu mieści się cmentarz, na którym jest 10 grobów zmarłych więźniarek. Na każdym umieszczona jest tabliczka z imieniem, nazwiskiem i wiekiem zmarłej oraz napisem „… zamordowana w obozie koncentracyjnym”.*

Prawdą jest, że więźniarki z obozu koncentracyjnego FAL Liebau pochowane zostały na lubawskim cmentarzu w pojedynczych grobach, co opisywałem już w piśmie „Na Szlaku”[4]. Jednak w czasie gdy powstawała cytowana notatka, groby więźniarek od dawna były przekształcone w zbiorową mogiłę z jedną tablicą memoriałową. Wyryto na niej siedem nazwisk kobiet oraz napis „Zamordowane przez zbirów hitlerowskich”.

Nowe nagrobki na mogiłach Polaków zmarłych w lubawskich obozach

Tabliczka z grobu wojennego w Lubawce. Zdjęcie: IPN, sygn. Wr 8/21

Natomiast w notatce wspomina się o dziesięciu grobach zmarłych więźniarek, na których umieszczone były tabliczki z imieniem, nazwiskiem i wiekiem zmarłej oraz napisem „zamordowana w obozie koncentracyjnym”. Tak więc najprawdopodobniej mowa tu o innych grobach wojennych: jedenastu mogiłach znajdujących się zaledwie kilkadziesiąt metrów od zbiorowego grobu więźniarek z FAL Liebau. W 2022 roku wiekowe już pomniki na tych grobach zostały zastąpione nowymi, wykonanymi z granitu. Obok nich umieszczono kamienny blok z inskrypcją: „Miejsce spoczynku cywilnych ofiar wojny – robotników przymusowych zmarłych podczas II wojny światowej w obozach pracy w Lubawce”. Należy zauważyć, że pochowano tu zarówno kobiety, jak i mężczyzn.

Współcześnie nie ujrzymy tu już wspomnianych w notatce tabliczek, jednak znane mi archiwalne zdjęcie pokazuje ich treść: nazwisko, imię, wiek oraz napis „zginęła w obozie z rąk faszystów”.

Natrafiłem też na informację, że we wspomnianych jedenastu mogiłach „pochowano robotników zmarłych w miejscowym obozie pracy przymusowej. Prawdopodobnie byli to warszawiacy wywiezieni ze stolicy po powstaniu warszawskim i umieszczeni w obozie pracy”[5].

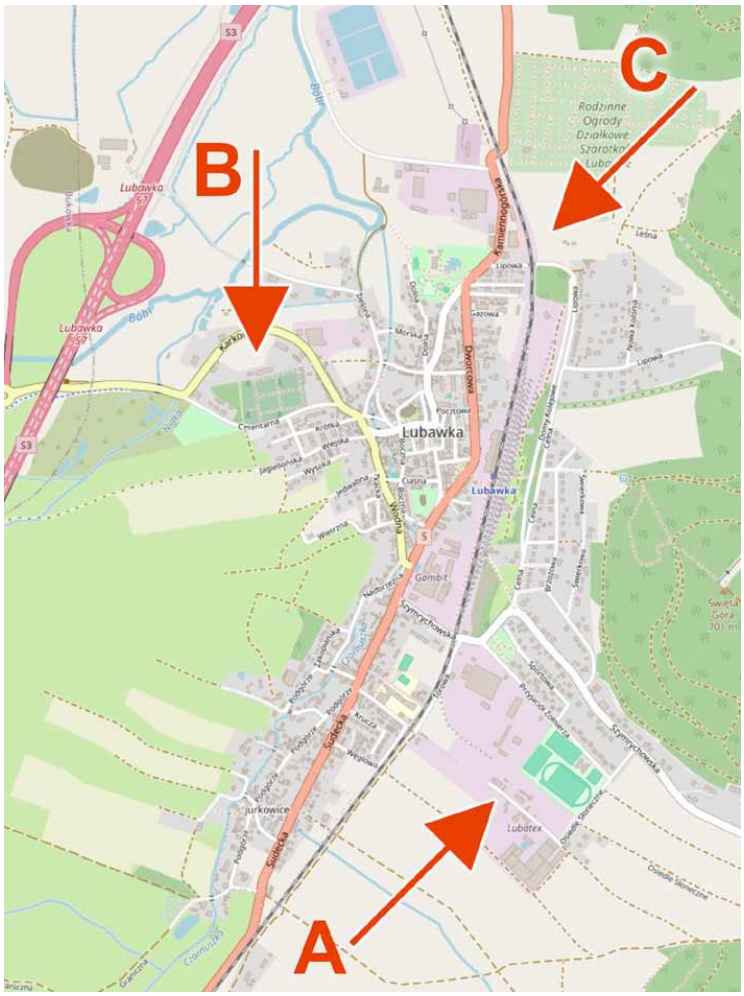

Lokalizacje obozów wspomnianych w artykule:
A – filia Gross-Rosen,
B – obóz koło cmentarza,
C – obóz za torami

Znane są akty zgonu przynajmniej trzech z pochowanych tu osób. Z dokumentów tych wynika, że byli to mieszkańcy miejsc określanych nazwami „Lager 1” i „Lager 7”, przy czym jedna z nich zmarła w „Baracke Lager 7”[6], czyli „obozie barakowym numer 7”. Przed dwoma nazwiskami dodano też, że byli to robotnicy, trzecią opisano jako pracownicę fabryki. Świadczy to o tym, że w czasie wojny na terenie miasta znajdowały się kolejne obozy, jednak współcześnie brak jakichkolwiek przesłanek, aby uznać, że były one częścią sieci podobozów KL Gross-Rosen. Filia tego obozu koncentracyjnego znajdowała się jedynie przy dzisiejszej ul. Mickiewicza.

Zaskakujący pozostaje fakt, że przy istnieniu licznych relacji dotyczących FAL Liebau, wiedza o dwóch pozostałych obozach pracy przymusowej jest skrajnie szczątkowa i nie sposób natrafić na choćby jedną relację przetrzymywanych tam Polaków.

Marian Gabrowski

Przypisy

1 M. Gabrowski, *W poszukiwaniu lokalizacji baraków FAL Liebau, filii obozu Gross-Rosen w dzisiejszej Lubawce*, [w:] „Na Szlaku”, nr 7/2025. s. 16-19.

2 Archiwum Muzeum Gross-Rosen, sygn. 9252-48-DP.

3 Korespondencja e-mail z dnia 5 czerwca 2022 roku.

4 M. Gabrowski, *Lubawski nagrobek więźniarek FAL Liebau, filii obozu Gross-Rosen*, [w:] „Na Szlaku”, nr 8/2025, s. 17-20.

5 *Przewodnik po upamiętnionych miejscach walk i męczeństwa lat wojny 1939-1945*, Warszawa 1988.

6 Archiwum Muzeum Gross-Rosen, sygn. 9252-48-DP.

Dzwony w starej wieży kościelnej w Radomierzu

Nawa kościoła katolickiego w Radomierzu (Seiffersdorf) popadła w ruinę i po roku 1849 została rozebrana. Przy świątyni znajdowało się szesnaście epitafiów radomierskiego odgałęzienia rodu Schaffgotschów powstałych w latach 1579–1624. Za zgodą królewskiego rządu we Wrocławiu przeniesiono je w roku 1849 do Cieplic (Warmbrunn), gdzie znalazły swoje miejsce przy tamtejszym kościele katolickim i do dziś znajdują się w znakomitym stanie. Wieża kościelna wraz z trzema dzwonami szczęśliwie ocalała. Zarówno sama wieża, jak i jej dźwięczne wyposażenie przeszły wówczas na własność gminy Radomierz. Dzięki temu właśnie dzwony zostały oszczędzone podczas przymusowych rekwizycji w czasie I i II wojny światowej, gdyż najwyraźniej tylko kościoły zobowiązywano do oddawania cennego metalu na cele zbrojeniowe. Wdzięczność należy się ówczesnej administracji gminnej, która – świadoma wartości tych trzech dzwonów – powstrzymała się od ich wydania podczas obu rekwizycji. Dzięki temu szczęśliwemu zbiegowi okoliczności dzwony zachowały się do naszych czasów.

W roku 2012 do wieży kościelnej dobudowano piękne centrum informacyjne w formie świątyni. Do samej wieży przylega również okalająca ją platforma widokowa, z której roztacza się wspaniała panorama gór oraz urokliwego krajobrazu.

Jezus na krzyżu na małym dzwonie

Mały Dzwon

Ok. Ø 70 cm Po lewej stronie, patrząc w kierunku domu modlitwy.

RVF MICH AN IN ZEIT DER NOT SPRICHT DER HER SO WILL ICH ERETEN VND DV SOLT MICH PREISEN 1595 (Wzywaj mnie w potrzebie, mówi Pan, a Ja cię wybawię, a ty będziesz mnie chwalił. 1595 (Psalm 50, 15))

Średni dzwon

IM IAR DES HERRN 1612 GOT ALEIN DI EHR LOBET DEN HERREN MIT HELLEN CYMBELN LOBET IHN MIT WOLKLINGENDEN CYMBELN PSAL: CL (W roku Pańskim 1612 Chwała Bogu. Chwalcie Pana na jasnych cymbałach / Chwalcie Pana na melodyjnych cymbałach)

BERNHART SCH	EVA SCHAF
AF GOTSCH VOM	GOTSCHIN
KYNAST AVF RV	GEBORNE
RLACH VND SE	MVLHAI
YFERSDORF	MIN
Herb Schaffgotsch	Herb Mühlhaim

GLEICH WIE MOSES IN DER WVSTEN EIN SCH
LANG ERHOET HAT ALSO MUS DES MENSC
HEN SOHN ERHÖT WERDEN AVF DAS A
LL DI AN IN GLAVBEN NICHT VERLOREN
WERDN SONDERN DAS EWIG LEBEN HA
BEN
(JAK MOJŻESZ NA PUSTYNI WYWYŻSZYŁ WĘŻA,
TAK TEŻ MUSI BYĆ WYWYŻSZONY SYN CZŁOWIECZY,
ABY KAŻDY, KTO WIERZY W NIEGO,
NIE ZGINĄŁ, LECZ MIAŁ ŻYCIE
WIECZNE)

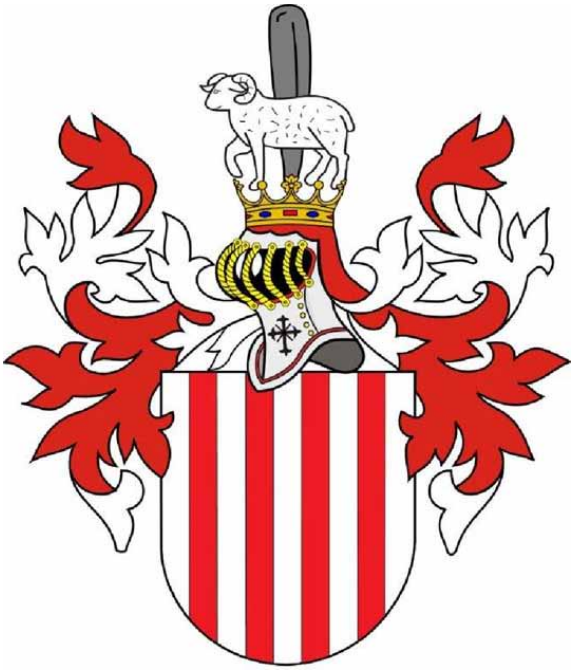

Herb Schaffgotsch

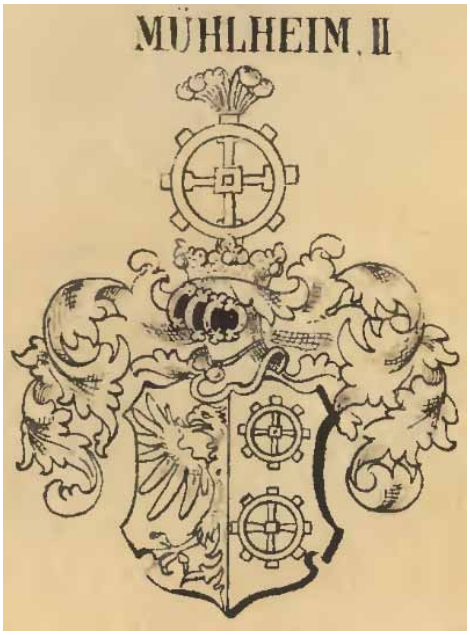

Herb Mühlhaim

Mały dzwon, po prawej stronie od domu modlitwy

WOLF GOTSCH VON KINAST ER HET ALHIE ZV DER HEILIGEN GE ICHEN DREIFALTIGKEIT AMEN

AVFS NEVE WIDER GIESEN LASEN SEIFFER-DORFF DISE GLOCKE MIR VND DER GANTZEN GEMEIN ZV

(Wolf Gotsch z CHOJNI-KA– on tu, to uczynił ku czci Świętej Trójcy. Amen.

Na nowo kazał go od-lać. Radomierz– dzwon ten dla mnie i dla całej wspólnoty.)

Ullrich Junker

Mały dzwon i jego korona

Autobusem PKS do Wałbrzycha i z Wałbrzycha w styczniu 1953 r.

Z lektury wydawnictwa pt. „Urzędowy Rozkład Jazdy Autobusów ważny od 5. X. 1952 do 16. V. 1953”[1] wynika, że w tytułowym okresie Wałbrzych miał dość sporą ilość połączeń autobusowych z różnymi – nieraz bardzo odległymi od niego – miejscowościami. Stwarzało to możliwości dojazdu do tego miasta osobom zamieszkałym w różnych miejscowościach jak i dojazdu do tychże miejscowości osobom zamieszkującym na stałe w Wałbrzychu. Z komunikacji autobusowej korzystały zapewne osoby dojeżdżające do pracy lub do szkoły. Mogły też jednak z niej korzystać osoby planujące odbycie interesujących z krajoznawczego punktu widzenia wycieczek.

Starem do Wałbrzycha

Przypuszczalnie w Wałbrzychu – w tym na tamtejszym dworcu autobusowym – dało się zobaczyć w styczniu 1953 r. pojazdy różnych marek[2]. Ze wzmianki zamieszczonej w „Słowie Wałbrzyskim” z 4/5 stycznia 1953 r. wynika, że jednym z pojazdów PKS przeznaczonych do przewozu osób, jaki poruszał się po ulicach tego miasta był wóz marki star. We wzmiance tej podano, że jego kierowca przejechał *„już 61 tysięcy kilometrów bez średniego remontu”*. Podnoszono też, że był to polski pojazd[3].

Gdzie jeździł ów wóz jak i inne autobusy, jakie startowały lub kończyły trasę w Wałbrzychu?

Autobusem z Wałbrzycha do Wrocławia

Wśród połączeń autobusowych było i to łączące stolicę Dolnego Śląska z Wałbrzychem. Z tabeli nr 286 ww. wydawnictwa wynika, że z wałbrzyskiego dworca autobusowego do Wrocławia wyruszać miały cztery autobusy w ciągu doby. Odjazdy zaplanowane były z Wałbrzycha na godziny: 5:20, 13:50, 17:00 i 18:50. Z Wrocławia do Wałbrzycha autobusy odjeżdżać miały z kolei o: 8:10, 11:00, 16:00 i 19:40. Przejazd między tymi miastami miał trwać dwie godziny i 24 min. Z treści wspomnianej tabeli wnioskować można, że wozy na tej linii kursowały każdego styczniowego dnia 1953 r.[4]. Czy faktycznie jednak kursy te zrealizowano w każdym z tych dni? Tego nie wiem. Ówczesna zima jak to ówczesna zima – o ile były trudne warunki atmosferyczne to mogły one dać o sobie znać także i komunikacji autobusowej. I to nie tylko na tej trasie. Ale to tylko moje małe dywagacje.

Nie tylko do Wrocławia

Oczywiście Wrocław to tylko jedna z miejscowości, do których w styczniu 1953 r. można się było wybrać z Wałbrzycha autobusem PKS. Z początkiem tego roku Wałbrzych miał bowiem mieć połączenia takimi autobusami również z: Dzierżoniowem przez Świebodzice, Świdnicę i Pieszyce, z Dzierżoniowem przez Świebodzice, Świdnicę i Mościsko, z Jaworem przez Świebodzice, Świdnicę, Stanowice, Strzegom i Rogoźnicę (jeden kurs do Jawora i jeden z Jawora w ciągu doby i to tylko w dni robocze), z Kamienną Górą przez Czarny Bór (na tej linii sporo kursów w obu kierunkach), z Kłodzkiem przez Jedlinę-Zdrój, Głuszycę i Nową Rudę, z Legnicą przez Świebodzice, Dobromierz, Bolków i Jawor, z Mieroszowem przez Sokołowsko oraz z Żarowem przez Świebodzice, Świdnicę i Wierzbną (jeden kurs do Żarowa i jeden z Żarowa w ciągu doby i to tylko w dni robocze)[5].

Wjazdy „kieszeniowe” do przystanków Głuszyca Dolna i Walim

Prócz już wymienionych istniało również bardzo interesujące połączenie Wałbrzycha z Walimiem przez Jedlinę-Zdrój, Głuszycę i Jugowice. Z ww. wydawnictwa zawierającego ówczesny rozkład jazdy wynika bowiem, że połączenie to odbywało się w ramach kursu z Wałbrzycha do… Wałbrzycha w trakcie, którego autobus jedynie dokonywał wjazdów „kieszeniowych” do przystanków Głuszyca Dolna i Walim. Były nawet dwa warianty tras. Jeden polegał na tym, że w drodze z Wałbrzycha do Wałbrzycha autobus jechał najpierw przez Głuszycę Dolną, a później przez Walim. Drugi wariant znów to jazda najpierw przez Walim, a później przez Głuszycę Dolną. Po drodze były oczywiście i inne przystanki. Dlaczego więc dwa ostatnio wspomniane wymieniłem w ramach rzeczonych wjazdów „kieszeniowych”? Bowiem w drodze z Wałbrzycha do Wałbrzycha autobusy za przystankiem Jedlinka zajeżdżały tylko do przystanku Głuszyca Dolna po czym ponownie dojeżdżały do przystanku Jedlinka. Tak samo za przystankiem Jugowice autobusy „z głównej trasy” odbijały do

Walimia po czym ponownie dojeżdżały do przystanku Jugowice i kierowały się dalej w stronę tytułowego miasta.

Całą tę – liczącą 49 km – trasę pojazdy miały pokonywać w godzinę i 41 min.[6]. Swoją drogą sam przejazd takiej trasy – jak i zresztą innych wcześniej wspomnianych – mógł być atrakcyjny z turystycznego punktu widzenia. Wszak widoki z okien autobusu (o ile dało się je zobaczyć) mogły cieszyć oczy wielu osób, umożliwiając im pobieżne poznanie wielu zakątków Sudetów, Przedgórza Sudeckiego jak i Niziny Śląskiej.

Drogowskaz w Wałbrzychu w pobliżu styku ul. Niepodległości z ul. Świdnicką w 2024 r.

Nie wszędzie dało się dojechać pekaesem

Jak widać z powyższego wyliczenia autobusy PKS nie dojeżdżały jednak do niektórych miejscowości w okolicach Wałbrzycha. Przykładowo brak w tabelach z rozkładem jazdy takich miejscowości jak choćby: Lubomin, Łączna, Różana, Stare Bogaczowice czy Struga. Pomimo, że wcześniej (przed 1953 r.) autobusem PKS dało się dojechać do Lubomina, Starych Bogaczowic i do Strugi[7], to w styczniu 1953 r. nie było to możliwe.

Autobusem z dzieckiem

Były zapewne osoby, które autobusami PKS jechały z dziećmi. „Ważniejsze informacje przewozowe i taryfowe" obowiązujące w styczniu 1953 r. stanowiły, że *„Podróżny ma prawo zabrać ze sobą bezpłatnie jedno dziecko w wieku do lat 4-ch o ile nie żąda dla niego osobnego miejsca do siedzenia. Dzieci w wieku od lat 4-ch do 10-ciu płacą 50% opłaty normalnej."*[8]. Tak głosiły ówczesne przepisy taryfowe. A jak było w praktyce? Otóż opierając się na analizie wzmianki prasowej, która ukazała się na łamach „Słowa Wałbrzyskiego" z 10 stycznia 1953 r. wnioskować można, że dochodzić miało do jakichś nieporozumień pomiędzy personelem PKS, a osobami korzystającymi z usług przewozowych tego przedsiębiorstwa *„na tle uiszczania opłaty za przejazd dzieci"*. Czy sytuacje takie zdarzały się również w pojazdach PKS jadących do lub z Wałbrzycha, skoro problem ten zasygnalizowano w „Słowie Wałbrzyskim"? Nie wiem. Niezależnie od tego warto wspomnieć, że w przywołanej wzmiance zaznaczono, iż *„Kwestie te* [zasady uiszczania bądź zwolnienia z opłat za przejazd dzieci – przyp. B.S.] *wyjaśnia taryfa PKS zatwierdzona przez Ministerstwo Komunikacji, którą powinna posiadać obsługa autobusów."*[9].

W Wałbrzychu nie tylko pekaesem

Oczywiście poza autobusami PKS, które w styczniu 1953 r. widywać można było na ulicach tytułowego miasta dało się dojechać doń także pasażerskimi pociągami[10]. Kursowały też pojazdy wałbrzyskiej komunikacji miejskiej. Obok autobusów i pociągów niczym nadzwyczajnym w Wałbrzychu nie był więc wtedy widok tramwajów i trolejbusów[11].

Bartosz Skowroński

Przypisy

1 „Urzędowy Rozkład Jazdy Autobusów ważny od 5. X. 1952 do 16. V. 1953", Warszawa 1952.

2 Nie jestem w stanie podać wyczerpującego katalogu marek autobusów PKS, które spotkać można było wówczas na liniach biegnących przez Wałbrzych. We wcześniejszych niż 1953 r. latach kursowały jednak pojazdy różnych marek. Przypuszczam więc, że i w 1953 r. jeździły różne pojazdy. Szerzej o taborze autobusowym, jaki spotkać można było na liniach poprowadzonych na obszarze Sudetów z Przedgórzem Sudeckim w latach 1945-1952 napisałem w książce mojego autorstwa (zob. Bartosz Skowroński, „Turystyczne migawki sudeckich autobusów z lat 1945-1952", Warszawa 2025, ISBN 978-83-974249-0-6, s. 17-22).

3 (zm), *Kierowca PKS prze echał na „Starze” 61.000 km*, „Słowo Wałbrzyskie”, A, nr 4 (2116), 4/5 stycznia 1953 (pisownia tytułu oryginalna – w egzemplarzu, który przeglądałem figurował właśnie zapis „prze echał” – chodziło najpewniej o słowo „przejechał” – zapewne jakiś błąd w druku).

4 „Urzędowy Rozkład Jazdy Autobusów ważny od 5. X. 1952 do 16. V. 1953”, op. cit.

5 Ibidem.

6 Ibidem.

7 Bartosz Skowroński, *Początki polskiej komunikacji autobusowej w sudeckim Lubominie z turystycznego punktu widzenia*, „Na Szlaku”, nr e-208 (404) luty 2024, www.na-szlaku.net, http://www.na-szlaku.net/files/Na%20Szlaku%2002-2024.pdf, dostęp: 4 lutego 2024 r.

8 „Urzędowy Rozkład Jazdy Autobusów ważny od 5. X. 1952 do 16. V. 1953”, op. cit.

9 (K), *Opłata w autobusach za dzieci*, „Słowo Wałbrzyskie”, nr 8 (2120), 10 stycznia 1953.

10 „PKP Urzędowy Rozkład Jazdy Pociągów zima 1952/ 1953 ważny od 5. X. 1952 do 16. V. 1953”, Warszawa 1952.

11 (zm), *Dwie przyczyny zatłoczenia tramwajów i trolleybusów obsługujących Wałbrzych 1 Nieuzgodnienie godzin rozpoczynania pracy w instytucjach 2 Brak żłobka i przedszkola w zakładach komun kacyjnych”*, „Słowo Wałbrzyskie”, nr 8 (2120), 10 stycznia 1953 (w egzemplarzu, który przeglądałem figurował właśnie zapis „komun kacyjnych” – chodziło najpewniej o słowo „komunikacyjnych” – zapewne jakiś błąd w druku).

Barokizacja na Dolnym Śląsku (9)

Pomnik Wolffa w kościele św. Elżbiety we Wrocławiu

Okres baroku oddziaływał bardzo silnie na wiele dziedzin życia. Temat śmierci został przez artystów na Śląsku potraktowany z należną uwagą i powagą. Zachowanie pamięci o zmarłych znalazło odzwierciedlenie w sztuce tego okresu (lata 1650-1750). Powstawały mniej lub bardziej bogato zdobione mauzolea, kaplice grobowe, pomniki nagrobne, epitafia lub skromne tablice. Motywami dekoracyjnymi były symbole kojarzone ze smutkiem i śmiercią, a więc klepsydry, czaszki, kości, kolor czerni. Miało to uzasadnienie religijnie, ale też było związane z minionym tragicznym okresem wojny 30-letniej (1618-1648). Wśród barokowych pomników i epitafiów śląskich dostojników należy wyróżnić wizerunki (portrety, popiersia) spełniające funkcje reprezentacyjne i nekropoliczne (sepulkralne), czyli upamiętnienia zmarłych. Oprócz władców (dostojników habsburskich) reprezentowani są przeważnie przedstawiciele hierarchii kościelnej (liczne nagrobki zachowane w katedrze wrocławskiej), są też przykłady osób spośród bogatego mieszczaństwa (epitafia w kościołach wrocławskich).

Pomnik Wolffa

Wchodząc z Rynku na plac przy kościele św. Elżbiety (dawny cmentarz), mijamy pomiędzy dwoma budynkami (dawne domki altarystów) barokową bramę z puttami podtrzymującymi kartusz z wyraźnym napisem: *MORS IANUA VITAE* (*śmierć bramą życia* wiecznego) z 1728 r. Inskrypcja ta w czytelny sposób symbolizuje przejście w sferę zadumy i uświadamia wiarę w życie po śmierci. W tym duchu wykonywano nagrobki i epitafia.

Wybitnym przykładem jest nagrobek cesarskiego radcy handlowego i senatora wrocławskiego ***Johannesa Georga von Wolffa*** (zm. 1722). Jest to bardzo wartościowe dzieło śląskiej rzeźby grobowej z tego

okresu. Znajduje się w gotyckim ceglanym **kościele św. Elżbiety,** który był budowany wieloetapowo (1310-1390). Posiada charakterystyczną wieżę (wys. ok. 92 m), której budowa trwała wiele dziesięcioleci (do ok. 1480). Był to dawniej śródmiejski kościół ewangelicki, położony w pn.-zach. narożniku Rynku. Pomnik umieszczony jest na zach. ścianie kaplicy rodziny Wolff, która znajduje się w północnej nawie kościoła (przy bocznym wejściu). Nagrobek (rzeźby) wykonał w r. 1722 wybitny artysta rzeźbiarz **F.M. Brokoff** (1688-1731) i jego pomocnik **S. Pardinski.** (Dla przypomnienia: F.M. Brokoff wykonał cenne figury i supraporty w kaplicy *Corpus Christi (Bożego Ciała)* w archikatedrze wrocławskiej). Uważa się, że projekt monumentu opracował uznany cesarski architekt **J. E. Fischer von Erlach** (1656-1723), który jest autorem wymienionej kaplicy *Corpus Christi.* Ten przyścienny pomnik Wolffa ma formę piramidy. Na kompozycję nagrobka (wys. 7,5 m, podstawa ok. 3,2 m) składa się cokół w formie naturalnych bloków skalnych, co wyraźnie podkreśla religijny motyw całości (opoka wiary). Kompozycja nagrobka, a tym samym architektoniczna konstrukcja, jest dwustopniowa i przejrzysta - ze strefy ziemskiej przenosimy się do strefy niebiańskiej (życia wiecznego, pozagrobowego). Na cokole umieszczony jest sarkofag z marmuru w niebieskawej tonacji, a powyżej wznosi się ku niebu piramida flankowana cyprysami i zwieńczona promienistym trójkątem w glorii i chmurach z imieniem *Jehovah***.** Wyróżnia się pozłacany segment z trójkątem symbolizującym Trójcę Świętą i hebrajskimi literami w otoczeniu obłoków. W dolnym segmencie pomnika zwraca uwagę dość duża prostokątna tablica inskrypcyjna (tekst łaciński) z pozłacanymi literami odlanymi w brązie, która podaje godności zmarłego: *śląski radca handlowy i senator wrocławski,* datę urodzin: *28.12.1658* i śmierci: *2.12.1722, w wieku 64 lat i po 35 latach małżeństwa z żoną Anną Dorotą Benadią*. Nad tablicą inskrypcyjną (nad sarkofagiem) znajduje się wizerunek zmarłego (popiersie naturalnej wielkości z kararyjskiego marmuru) w typowym stroju i barokowej peruce, a poniżej marmurowa tarcza z herbem rodowym. Uskrzydlona figura kobieca (naturalnej wielkości) z alabastru może być personifikacją Miłości Bożej *(Miłosierdzie z medalionem, Caritas)*. Symbolikę uzupełniają klepsydra, gasnący żar ogniska, czaszka , putto jako *Fama* oraz dwie figurki (putta) pogrążone w żałobie i górne putto unoszące serduszko. Z całej kompozycji przebija powaga i smutek. Popiersie senatora na tle piramidy należy rozumieć jako jego życiową drogę do wieczności wspomaganą przez Miłość Bożą pod czujnym okiem Opatrzności Bożej w zwieńczeniu monumentu (piramidy).

Popiersie Wolffa

Zwieńczenie pomnika Wolffa

Ikonograficzne elementy zawierają bogatą treść religijno-ideową. Środkowa strefa monumentu z popiersiem zmarłego oznacza życie doczesne (czaszka, gasnący kaganek)

i przejście drogą w formie piramidy do życia wiecznego – strzelista piramida z bocznymi zielonymi cyprysami (oznaczającymi ciągłą żywotność) prowadzi do nieba (obłoki, Opatrzność Boża). Zastosowano szlachetne materiały - marmur kararyjski, niebieski marmur z Przeworna i alabaster. Nagrobek zrealizowała firma kamieniarsko-rzeźbiarska **Johann A. Karinger.**

Wzór symbolizujący przejście drogę wiary do trwałej chwały i wieczności był już stosowany w okresie renesansu jako ulubiony motyw dekoracyjny i w barokowych pomnikach (kaplicach) stał się powszechnym elementem sztuki nekropolicznej. Należy wspomnieć, że w kościele św. Elżbiety powstały liczne wartościowe epitafia w poprzednich okresach. Ten trend tamtego barokowego czasu reprezentują jeszcze inne ozdobne epitafia, które ufundowane zostały przez ewangelickie bogate rodziny mieszczańskie. Warto wymienić niektóre pomniki. Epitafium **Johanna Christopha Neumanna** (zm. 1734) i jego żony z alegoriami sławy i mądrości; jest to dzieło cenionego rzeźbiarza **F.J. Mangoldta** (1695- 1761). Tekst płyty inskrypcyjnej podaje, że zmarł, przeżywszy 73 lata i 11 dni, a z żoną 44 lata (Eva z d. Scholz). Podobną formę ma epitafium **Hansa Sigmunda Bergera** (zm. 1743) i jego żony wystawione w 1746 r. Kolejny monument poświęcony członkowi rady parafialnej **Georgowi Teubnerowi** (zm. 1736) zawiera podobną symbolikę (doczesne życie i ziemska sława oraz śmierć i smutek). Oba epitafia pochodzą z ręki cenionego artysty **Johanna A. Siegwitza** (1700?-1756), który jest współautorem słynnego prospektu organowego w tutejszym kościele.

Wysoką rangę artystyczną budowla (bazylika) św. Elżbiety zawdzięcza wybitnej architekturze gotyckiej, ale także niezwykle wartościowemu wyposażeniu, na które składają się elementy plastyki kamiennej, ołtarze, wspomniane epitafia i rzeźby z minionych wieków (np. nagrobek **H. Rybischa** z 1544 r.) oraz cenne (odtworzone) organy **Englera** z XVIII w.

Edmund Całus

Witraże wrocławskich kościołów (4)

W końcowej fazie działań wojennych, podczas obrony Festung Breslau, zniszczeniu uległo wyposażenie oraz witraże w większości kościołów. W trakcie powojennej odbudowy niektóre kościoły wrocławskie otrzymały nowe wyposażenie, takie jak rzeźby, mozaiki i witraże.

Regina Rychłowska-Molińska, artysta plastyk – twórczyni witraży

Regina Rychłowska urodziła się w 1933 r. na Polesiu, a dzieciństwo spędziła w Krakowie. Ukończyła Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych we Wrocławiu na Wydziale Szkła i Ceramiki w 1957 r. Pierwsze kroki w zawodzie witrażystki stawiała pod okiem wybitnych artystów tej miary, co Tadeusz Wojciechowski i Władysław Jastrzębski. Była cenioną projektantką witraży. Jej projekty zostały zrealizowane w 120 obiektach architektonicznych w kraju i za granicą. Na Dolnym Śląsku witraże jej autorstwa znajdują się w kościołach w Bielawie, Domaniowie, Malczycach, Strzelinie oraz we Wrocławiu. Związana z Krakowskim Zakładem Witraży (dawniej S.G. Żeleński) przez 40 lat sprawowała nadzór artystyczny nad wykonawstwem wszystkich witraży. W latach 1960-1990 pełniła funkcję kolorystki i kierownika artystycznego. Współpracowała także z krakowską pracownią witraży *Testor*. Artystka zmarła 24 października 2022 r. w wieku prawie 90 lat i spoczęła na żywieckim Cmentarzu Przemienienia Pańskiego.

We Wrocławiu witraże artystki zdobią okna w kościele parafialnym św. Augustyna, także w kościele pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Kościół św. Augustyna

Kościół parafialny św. Augustyna (przy ul. Sudeckiej 86), zaprojektowany przez architektów Alfreda Böttchera i Richarda Gaze i zbudowany w 1909 r., przedstawia kompozycję elementów różnych stylów architektonicznych charakterystyczną dla schyłku historyzmu w architekturze.

Dziewięć małych witraży w apsydzie prezbiterium kościoła św. Augustyna artystka zaprojektowała do 27.11.1963 r., projekt zaś, zaakceptowany przez Kurię Arcybiskupią Wrocławską 3.02.1964 r., zrealizowały Krakowskie Zakłady Witraży do 17.05.1964 r. Witraże otrzymały wspólną kolorystykę złoto-zielonkawą.

Pierwsze i ostatnie okno przedstawiają odpowiednio: PAX z krzyżem (w górnym polu P, w dolnym X) – znak pokoju w Chrystusie (1) oraz Krzyż i ryby – symbol chrześcijaństwa (9). Pozostałe siedem okien to symbole siedmiu Sakramentów Świętych: Chrzest – Kaganek ze światłem, „W chwili chrztu zabłysło światło, błogosławione po raz pierwszy w duszy człowieka i odtąd ma płonąć przez całe jego życie” (2); Pokuta – Klucze,

Regina Rychłowska-Molińska – witraże w prezbiterium w kościele św. Augustyna:
1. PAX z krzyżem, 2. Chrzest, 3. Pokuta , 4 .Bierzmowanie, 5. Eucharystia, 6. Kapłaństwo, 7. Małżeństwo, 8. Namaszczenie Chorych, 9. Krzyż i ryby

„I tobie dam klucze Królestwa Niebieskiego, a cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane w niebiosach, a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane w niebiosach” (odpuszczenie, przebaczenie) oraz kłódka jako symbol tajemnicy spowiedzi (3); Bierzmowanie – Duch Święty z siedmioma płomykami (tu w postaci 7 pasków spływających od Ducha Świętego – gołębicy). Są to dary Ducha Świętego: mądrość, rozum, rada, męstwo, umiejętność, pobożność, bojaźń Boża (4); Eucharystia – Pelikan karmiący swoją krwią młode (5); Kapłaństwo – Kielich z hostią i winne grono. Sakrament Kapłaństwa ma ścisły związek z Eucharystią „to czyńcie na moją pamiątkę” (6); Małżeństwo – dwie dłonie złączone na tle stuły z krzyżem (7) i Namaszczenie chorych – materią jest olej chorych w naczyniu oraz liść palmy (8).

Zamierzenia autorki nie zostały w pełni zrealizowane, albowiem część witraży została umieszczona w nieprawidłowej kolejności (prawidłowa to: Chrzest, Bierzmowanie, Eucharystia, Pokuta, Namaszczenie chorych, Kapłaństwo i Małżeństwo).

Kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa

Późniejsze o 10 lat są witraże zrealizowane w kościele księży salezjanów pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa (Pl. Grunwaldzki 3, obok Mostu Grunwaldzkiego). Jest to świątynia wybudowana w latach 1883-1885 przy klasztorze Sióstr Dobrego Pasterza według projektu architekta diecezjalnego Josepha Ebersa.

Znajdują się tu dwa wspaniałe witraże, które stanowią przykład doskonałego połączenia inwencji twórczej artystki z sugestiami ówczesnego księdza proboszcza Henryka Opolki. Witraż w oknie nad prezbiterium *Najświętszego Serca Jezusa* przedstawia w części centralnej Chrystusa w koronie cierniowej, który trzyma na wyciągniętych rękach chustę (10). Z jego serca rozchodzą się promienie w postaci żółtych kamyków. Korona cierniowa, chusta oraz serce symbolizują odpowiednio: cierpienie, mękę i śmierć, zmartwychwstanie i udzielanie łask. Postać Zbawcy wyłania się z przestworzy. Jest przedstawiona bez nóg, co jest skrótem pozwalającym doskonale ominąć trudności związane z umieszczeniem postaci w pełnym wymiarze, gdy okno jest zaokrąglone. Po obu stronach postaci Chrystusa znajdują się okrągłe okna. W lewym umieszczono symbol PAX (znak pokoju w Chrystusie), a w prawym symbol chrześcijaństwa – ryby z krzyżem. Elementy dekoracyjne znajdują się także w umieszczonych poniżej czterech podłużnych oknach, które stanowią kompozycyjną całość z oknem centralnym. Autorka szczególną sympatią darzyła ten witraż. Zawarła w nim też swoje credo artystyczne, według którego temat w witrażu jest pretekstem dla kompozycji kolorystycznej. W witrażu najważniejsze jest działanie światła i koloru, a „obraz” powinien być „zgubiony” i o różnych porach dnia wypływać i działać różnie, a im indywidualny odbiór jest bardziej różny, tym lepiej.

10

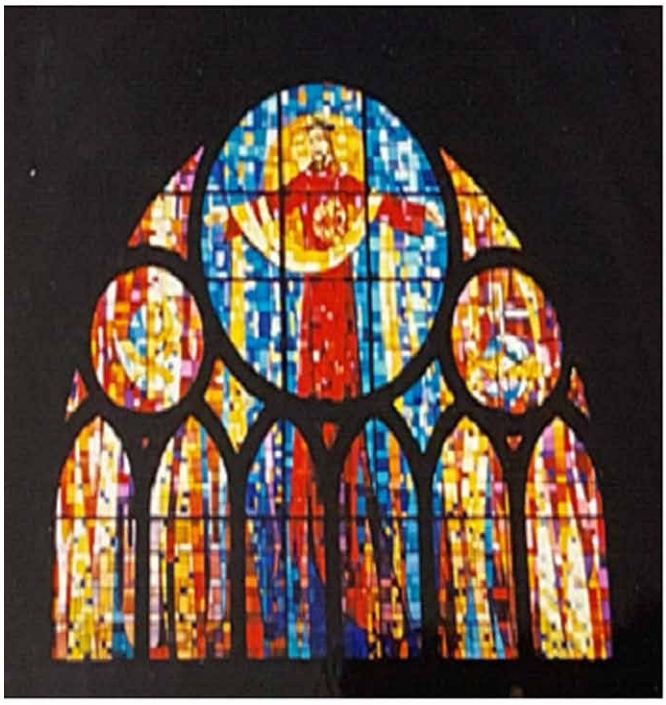

11

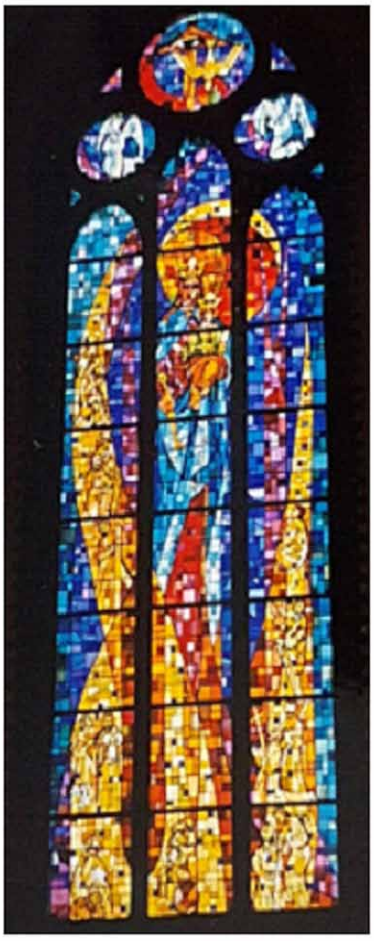

Regina Rychłowska-Molińska – witraże w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa:
10. Najświętsze Serce Pana Jezusa, 11. Matka Boska Wspomożycielka Wiernych

Po przeciwległej stronie kolejny

monumentalny witraż przedstawia *Matkę Boską Wspomożycielkę Wiernych* (11). Początkowo planowano przedstawienie Matki Bożej według wizji św. Jana Bosko. Miała to być umieszczona w części centralnej postać Niewiasty z Dzieciątkiem, oboje w królewskim przebraniu, w otoczeniu aniołów, patriarchów, apostołów, męczenników, dziewic i wyznawców. Sama wizja księdza Bosko początkowo nie mogła doczekać się realizacji, albowiem była zbyt szeroka. Dopiero artysta malarz, Tomasz Lorenzone, w ciągu trzech lat, przelewając na płótno cały swój kunszt malarski i całą swą duszę religijną, stworzył ujmującą postać Turyńskiej Wspomożycielki otoczonej chórem aniołów i apostołów. Podobnie wyzwanie, jakiemu zamierzała sprostać artystka, projektując witraż, nie było łatwe. Zbyt rozbudowany projekt nie zyskał aprobaty Kurii Arcybiskupiej. Ponadto trudności techniczne, polegające na niemożności wiernego przedstawienia tak wielu różnych postaci, zadecydowały o nadaniu tej części witraża bardziej symbolicznego wymiaru. Matka Boża Wspomożycielka Wiernych przedstawiona jest z Dzieciątkiem i z berłem. Z Jej ramion spływa długi niebieski płaszcz, spięty u góry złotą klamrą. Głowa Królowej i Dzieciątka przybrane są koronami wysadzanymi drogimi kamieniami. Dzieciątko Jezus podniesioną lewą ręką obdarza łaskami wiernych za pośrednictwem swojej Matki. Nad Jej głową uwidocznione są trzy aureole. W zwieńczeniu okna widoczne są dwa adorujące anioły, a w szczytowym kole symbol Trójcy Świętej (oko opatrzności, krzyż i gołąb). Fenomen kompozycji kolorystycznej tej części witraża wynikał z faktu, że artystka nie mogła zaprojektować czerwonej sukienki Matki Boskiej (według ikonografii obrazu M.B. Wspomożycielki), gdyż ta wyrywałaby się agresywną plamą i byłby ten kolor zbyt ważny i skupiający na sobie oko. Dlatego też, jak artystka opowiada, „rozciągnęła" go na całe okno i tak powstała „plama" w tle aureoli i wyżej okrąg przy Duchu Świętym. Tak samo fioletowe smugi „ciągnące" kolor złoty w górę – są optycznym rozprowadzeniem czerwieni na boki. Matkę otaczają smugi światłości, świętości w kolorze złotym, o kierunku ku górze, w których ukazane są postacie adorujących Ją świętych. Począwszy od prawej strony są to: św. Piotr – atrybut – klucz; św. Paweł – miecz; św. Maciej – topór; św. Filip – krzyż o długim drzewcu; św. Jakub Starszy – laska z tykwą; św. Tomasz – z węgielnicą w ręku (jako budowniczy). W części środkowej 4 Ewangeliści, tj. św. Łukasz – atrybut – wół uskrzydlony; św. Marek – lew uskrzydlony; św. Jan – orzeł i św. Mateusz – młodzieniec ze skrzydłami. Z lewej strony odpowiednio: św. Andrzej – odwrócony krzyż w kształcie litery x; św. Szymon – piła, miecz; św. Bartłomiej – nóż; św. Jakub Młodszy – maczuga, dzida lub miecz i św. Juda Tadeusz – księga lub łódka. Witraż utrzymany jest w pięknej kolorystyce, a w dni słoneczne tworzy dodatkowo barwną mozaikę na ścianach kościoła. Witraże wykonano w latach 1973-1976.

Danuta Lesiów, Tomasz Lesiów, Martyna Michniewicz
Zdjęcia: Stanisław Ulańczyk

CYTAT MIESIĄCA

Stabilna, czyli niebezpieczna

Na większości terenu śnieg jest stabilizowany przez kamienie i roślinność, co dodatkowo zwiększa ryzyko zsuwów. To nie żart, tylko swobodna interpretacja komunikatu GOPR. Pod koniec listopada komunikat GOPR informował o stanie pokrywy śnieżnej na Babiej Górze. Brzmiał on następująco: *Pokrywa śnieżna jest nierównomierna, średnio to ok. 30 cm. Punktowo, w miejscach występowania starej pokrywy, ponad 50 cm. Na większości obszaru* ***stabilizowana jest przez kamienie i nieprzykrytą, wysoką roślinność.*** *(...) stabilność pokrywy jest oceniana jako umiarkowana, a ryzyko samoistnych zsuwów jako* ***minimalne.***

Może powtórzę: ***Pokrywa śnieżna (…) stabilizowana jest przez kamienie i nieprzykrytą, wysoką roślinność.*** Według autora (ki) cytowanej informacji z pewnej rozgłośni radiowej ***dodatkowo zwiększa to ryzyko zsuwów***. Skąd taki wniosek, skoro w komunikacie GOPR czytamy, że ***ryzyko samoistnych zsuwów jest minimalne?***

Juliusz Wysłouch

Schronisko PTTK Murowaniec na Hali Gąsienicowej w Tatrach ma już 100 lat

Hala Gąsienicowa będąca północną częścią Doliny Gąsienicowej swoją sławę zawdzięcza możliwościom wyruszania na wyrypy, podczas których można wejść na Kościelec, Zawrat, Granaty, Świnicę, Kozi Wierch czy Kasprowy Wierch. Pierwotnie jednak była halą pasterską. Nazywano ją Halą Stawów, później Doliną Siedmiu Stawów. W końcu utrwaliła się nazwa Hala Gąsienicowa od nazwiska ówczesnych właścicieli. Niestety, jak to w życiu bywa, teren był dzielony na mniejsze kawałki i przekazywany kolejnym członkom rodziny i nie tylko. Dość wspomnieć, że w 1961 roku, kiedy państwo wykupywało te tereny, było już 381 właścicieli.

Hala Gąsienicowa leży na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego i jest zabudowana kilkoma obiektami będącymi własnością różnych instytucji. Znajduje się tam m. in. stacja meteorologiczna, w której rozpoczęto pierwsze na ziemiach polskich stałe badania meteorologiczne. Miało to miejsce 1 grudnia 1913 roku. Pierwotnie stacja była częścią Sekcji Przyrodniczej Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Obecnie działa jako Stacja Naukowa Instytutu Geografii i PZ PAN. Działa tu także stacja Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej.

Kolejnym obiektem na Hali Gąsienicowej jest „Betlejemka” będąca Centralnym Ośrodkiem Szkolenia Polskiego Związku Alpinizmu. To tutaj organizowane są kursy podnoszące poziom wyszkolenia ludzi chodzących po górach. Podczas letnich kursów poznaje się zaawansowane techniki turystyki górskiej, a podczas kursów zimowych techniki turystyki wysokogórskiej, w tym wiadomości z nawigacji i postępowania w przypadku zejścia lawin.

Oprócz wspomnianych obiektów na Hali Gąsienicowej znajduje się wiele leśniczówek i drewnianych budynków wykorzystywanych m.in. przez TPN.

Wracając jednak do Murowańca będącego największym obiektem na Hali Gąsienicowej, jego historia rozpoczęła się na początku XX wieku, a właściwie jeszcze wcześniej. W 1890 roku teren ten został wykupiony przez Towarzystwo Tatrzańskie. Samą budowę rozpoczęto dopiero w 1921 roku. To wtedy, 13 sierpnia 1921 roku, miała miejsce uroczystość wmurowania kamienia węgielnego pod przyszłe schronisko. Uroczystość ta zgromadziła przedstawicieli organizacji turystycznych i sportowych. Byli delegaci ze Śląska, z Wilna, Lwowa czy Poznania.

Należy przypomnieć, że inicjatorem budowy schroniska był Stanisław Osiecki (1875-1967) – prezes Oddziału Warszawskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Jego osoba została upamiętniona drewnianą tablicą umieszczoną w sali jadalnej na parterze schroniska. Oprócz wizerunku umieszczono na niej stosowny napis.

Opracowanie projektu powierzono architektom Zdzisławowi Kalinowskiemu i Karolowi Sicińskiemu. Założenie Sicińskiego wybudowania ścian z kamieni było przez niego wielokrotnie wykorzystywane przy budowie innych obiektów, m.in. domu dla Marii Kuncewiczowej.

Uroczystość otwarcia Murowańca miała miejsce 12 lipca 1925 roku. Mimo niesprzyjającej pogody na Halę Gąsienicową przybyli prezes Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Jan Wacław Czerwiński, prof. Kazimierz Sosnowski, gen. Mariusz Zaruski, marszałek Senatu RP Wojciech Trąmpczyński. Ogółem w uroczystości wzięło udział około tysiąca osób. Mszę świętą odprawił ksiądz Walenty Gadowski – budowniczy Orlej Perci. Oficjalnego otwarcia dokonał prezydent Rzeczypospolitej Stanisław Wojciechowski, który przecinając wstęgę, zacytował Wincentego Pola z „Pieśni o ziemi naszej”: „W góry! W góry, miły bracie! Tam swoboda czeka na cię”.

W okresie stu lat działalności schroniska były chwile ciekawe, ale i tragiczne. W 1963 roku najwyższe piętro obiektu strawił wielki pożar. Niestety, nie odbudowano wówczas znanego pomieszczenia strychowego zwanego Trumną, w którym często nocowało kilkudziesięciu turystów.

Jeśli chodzi o miłe chwile, na pewno do takich należy odsłonięcie w 1969 roku tablicy poświęconej Stanisławowi Osieckiemu czy umieszczonej na zewnętrznej ścianie budynku w 1930 roku tablicy upamiętniającej Adama Asnyka. Ta akurat pierwotnie miała być umieszczona na jednej ze skał nad Morskim Okiem, ale nie doszło do tego.

W 2019 roku budynek został wpisany do rejestru zabytków nieruchomych województwa małopolskiego. Obiekt jest własnością Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, którego staraniem przeszedł kilka poważnych prac inwestycyjnych dostosowujących go do aktualnych wymogów ppoż. czy

sanepidu. Wiele pracy w polepszenie oferty obiektu włożył jego dzierżawca dbający także o bezpieczeństwo swoich gości. Trzeba przyznać, że obecna załoga jest niezwykle miła i pomocna dla każdego turysty. Schronisko zapewnia wiele udogodnień. Nowoczesne łazienki zostały wyposażone w suszarki do butów czy ubrań. Obiekt jest ciepły, czysty i umożliwiający nie tylko odpoczynek poszczególnym turystom, ale także sporym grupom. Oferuje 110 miejsc w pokojach 2, 3, 4, 5, 6, 8, 9, i 10 osobowych oraz w apartamencie „Szałas". Potrawy są serwowane w bufecie i, co ciekawe, działa tam darmowy automat z wrzątkiem. Jest biblioteczka górska, gitary do wypożyczenia, punkt przechowywania bagażu. Bo o takich sprawach jak narciarnia, punkt napraw sprzętu turystycznego czy suszenia odzieży nie muszę wspominać. To norma. Jedyną niedogodnością może być płatność tylko gotówką. Chociaż nie do końca, gdyż znajduje się tu bankomat. Co ciekawe, to działa tu *Akademia górska* oferująca kursy narciarstwa czy szkolenia lawinowe.

Nic też dziwnego, że od wielu lat miejsce to jest nawiedzane przez osoby zauroczone Tatrami. Hala Gąsienicowa była obowiązkowym punktem wypraw dla Marii Curie-Skłodowskiej, Heleny Modrzejewskiej, Henryka Sienkiewicza, Stanisława Witkiewicza, Ignacego Paderewskiego, Stefana Żeromskiego, Adama Asnyka.

Najpopularniejszą trasą prowadzącą do Murowańca jest szlak prowadzący z Kuźnic. Turyści wybierają przejście szlakiem żółtym przez Dolinę Jaworzynka albo szlakiem niebieskim przez Wysokie. Obie trasy są mało wymagające i nie sprawiają specjalnych trudności. Oczywiście, sytuacja wygląda nieco inaczej w okresie zimowym. Ze schroniska Murowaniec możemy udać się szlakiem żółtym na Kasprowy Wierch albo szlakiem czarnym przez Zielony Staw Gąsienicowy na Świnicką Przełęcz. Uroczy jest niebieski szlak nad Czarny Staw Gąsienicowy czy przejście pętelki szlakiem żółtym na Zadni Upłaz, dalej czarnym i zielonym do punktu wyjścia. Zejść do Zakopanego można także szlakiem czarnym prowadzącym Doliną Suchej Wody.

Jak więc widać, wariantów wędrówek wokół Murowańca jest wiele. Pozwala to na wykorzystanie schroniska jako świetnej bazy wypadowej.

Czasami można usłyszeć opowieści o ukrytych w rejonie Hali Gąsienicowej skarbach. Mieli tego dokonać zbójnicy uciekający przed wojskiem. Nie do końca jednak wiadomo, czy tak było. Niestety, dzisiaj teren ten jest objęty ochroną i nie ma możliwości sprawdzenia tej opowieści. Faktem jest, że prawdziwym skarbem tej części Tatr jest schronisko PTTK Murowaniec.

Krzysztof Tęcza

Nowa tablica na Diablaku

W październiku 2025 r. zamontowano na Diablaku (szczyt Babiej Góry) nową tablicę upamiętniającą wielokrotne pobyty Karola Wojtyły, papieża Jana Pawła II na babiogórskich i okolicznych szlakach. Tablicę ufundowało Gospodarstwo Agroturystyczne Babiogórska Przystań z Lipnicy Wielkiej. Zdjęcie z 2 grudnia 2025 r.

Juliusz Wysłouch

Tablica pamięci Jana Pawła II na Diablaku

26. SPOTKANIE ŚLADOWE „NA SZLAKU”

Aktualizacja informacji

Kontynuując wieloletnią tradycję, zapraszam na towarzysko-turystyczne 26. SPOTKANIE ŚLADOWE CZYTELNIKÓW I SYMPATYKÓW „NA SZLAKU”. Na przełomie lutego i marca 2026 roku spotkamy się w **Wetlinie w Zajeździe pod Połoniną. Miejsc 27.** Adres: Wetlina 69. **Termin spotkania to 28.02. – 4.03**. Obiekt wygodny, obszerny i zlokalizowany w miejscu umożliwiającym podejmowanie wycieczek w wielu kierunkach. Można zabrać psa. Zamówimy śniadania i obiadokolacje. Dojazd najlepiej własnym samochodem, można umówić się ze znajomymi na wspólną podróż. Możliwy dojazd komunikacją publiczną od strony Sanoka, Leska, ale możliwości dojazdu należy sprawdzić bezpośrednio przed terminem spotkania, kiedy nastąpią sezonowe zmiany w rozkładach jazdy przewoźników. Dojazd do Sanoka koleją z Krakowa pociągiem relacji Kraków – Zagórz. **Zgłoszenia przyjmuję** (Juliusz Wysłouch) pod tel.: 517 222 664, **najlepiej e-mailem julo.tela@pro.onet.pl do 15 stycznia**. To najnowsze ustalenia z gospodyniami obiektu. O kwocie zadatku i formie wpłaty poinformuję indywidualnie po 15.01. Z założenia będzie to 30% całości opłaty. Co do wycieczek, to w naszym zasięgu może być trasa z Wetliny przez Szczob (szl. zielony) na Jawornik (1021m n.p.m.) i powrót szlakiem żółtym. Spróbujemy wyjścia na Przełęcz Orłowicza i do Chatki Puchatka na Połoninie Wetlińskiej. Jeśli warunki pozwolą, spróbujemy pokonać trasę na Przeł. Orłowicza i dalej do Bacówki PTTK „Jaworzec”, z powrotem doliną potoku Wetlina do Kalnicy skąd Wielką Obwodnicą Bieszczadzką na kwaterę. Przygotujmy się na trasy całodniowe.

Zapraszam. Juliusz Wysłouch

Wokół iwonickiego Zdroju

Iwonicz-Zdrój jest jednym z bardziej znanych karpackich uzdrowisk. Powstało ono w latach 30. XIX w. staraniem hrabiów Załuskich, jednak tutejsze źródła mineralne znane były już na początku XVI w., co lokuje je w czołówce najstarszych „wodnych" uzdrowisk w Polsce. Na początku XX w. przebywa tu już co roku ponad 6 tys. kuracjuszy, przy czym – jak podawał Mieczysław Orłowicz w swym „Ilustrowanym przewodniku po Galicyi" – (…) *większość gości stanowią Żydzi, i to przeważnie ze sfer proletaryatu*. Po kilku okresach zastoju w latach po II wojnie światowej obecnie miasto nabrało blasku i wigoru, którym emanuje niezależnie od pory roku.

Ze względu na swoje walory historyczne unikalny zespół iwonickich zabytków, obejmujący układ przestrzenny uzdrowiska, jego zabudowę i park zdrojowy, został wpisany w 1973 r. do rejestru zabytków nieruchomych i jako taki sam w sobie może stanowić cel atrakcyjnej wycieczki. W sezonie letnim krośnieński Oddział PTTK zapewnia przewodników, którzy co tydzień prowadzą takie ogólnodostępne wycieczki dla wszystkich chętnych. Dlatego dziś proponuję Czytelnikom spacer poza ścisłe centrum uzdrowiska. Okrężna wycieczka wokół iwonickiego Zdroju, obliczona na 3,5-4 godz., może być realizowana praktycznie przez cały rok: nawet w zimie, o ile opady śniegu nie są zbyt wielkie, opisane tu drogi są przejezdne, a leśne dróżki zwykle przedeptane.

Amelia, Karol i Józef Załuscy, budowniczowie iwonickiego Zdroju w XIX w.

Od drogowskazu turystycznego przy Pl. Józefa Dietla ruszamy więc za czerwonym szlakiem spacerowym (biało-czerwony kwadrat dzielony na skos) zwanym tu „Do Lasu Grabińskiego i kościoła w Iwoniczu". Podchodzimy na ul. Stanisława Kulczyńskiego. Mijamy po lewej dawne prewentorium Ministerstwa Górnictwa i Energetyki „Barburka" (to nie błąd ortograficzny!), obecnie od lat opuszczone. Za dużą willą „Zofiówka" (Orłowicz lokował ją wśród (…) *polecenia godnych pensyonatów*), a przed nowym pensjonatem „Amelia" skręcamy w lewo i schodkami wychodzimy na ul. Jana Rąba wznoszącą się zakosami po stoku Góry Winiarskiej (529 m n.p.m.). Tu trzeba wspomnieć, że dr Jan Stanisław Rąb (1919-1989) był księdzem katolickim, od 1950 roku wikariuszem eksponowanym w Iwoniczu-Zdroju, a od 1957 r. pierwszym proboszczem

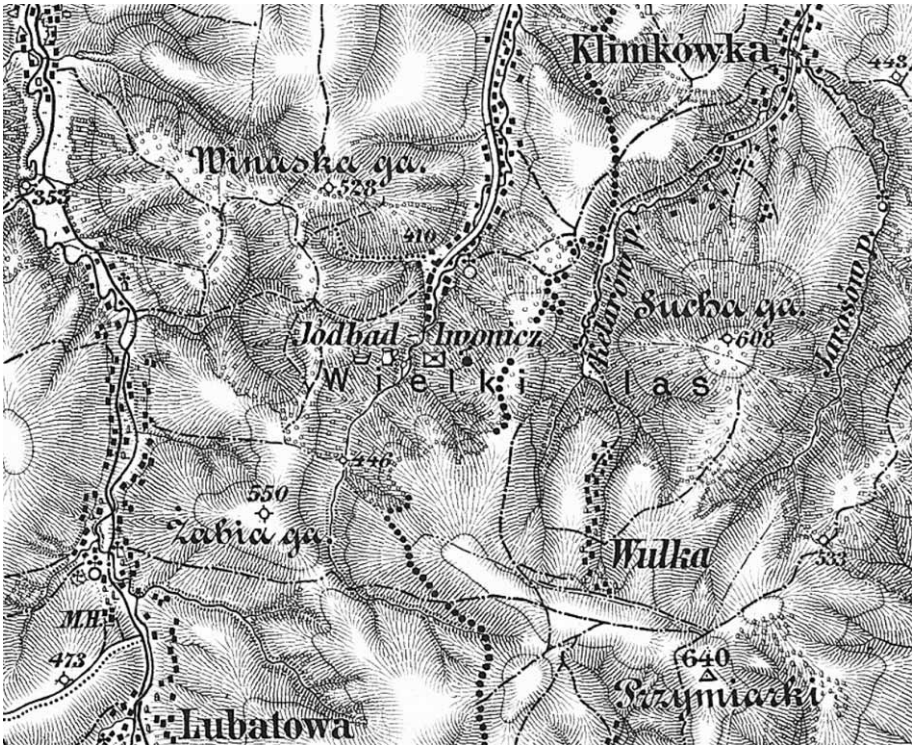

„Jodbad Iwonicz" na austro-węgierskiej mapie 1:75 000 z 1879 r. Mapa obejmuje całą trasę opisaną w tekście

tutejszej parafii. Był autorem ponad 300 prac dotyczących m. in. historii kościoła i regionu, w tym kilku przewodników turystycznych. Jego przewodnik „Iwonicz-Zdrój, Rymanów-Zdrój i okolice” (wyd. III w 1978 r.), pomimo wielu dezaktualizacji, do dziś jest cenną pomocą w poznawaniu regionu.

Iwonicki „Smok” („Krokodyl”?) prof. M. Górowskiego

Na wschodnim zboczu góry Winiarskiej rozłożył się zespół czterech „nowych” sanatoriów iwonickich. Minąwszy Górnicze Sanatorium Związkowe „Górnik”, a przed sanatorium „Wisła” opuszczamy znaki i skręcamy drogą w lewo. Powyżej altany „Górnika” wchodzimy drogą w las. Po prawej, na polanie za pasem drzew, zimą rozkłada się niewielki wyciąg narciarski. Po krótkim podejściu leśna droga się rozwidla. Lewa odnoga, łagodnie się obniżając, sprowadza do słynnego źródła „Bełkotka”. Wybieramy prawą odnogę, wiodącą trawersem po południowo-wschodnim, dość stromym tu zboczu Winiarskiej. Po dłuższej chwili po prawej stronie mijamy iwonickiego „Smoka” (czy też „Krokodyla”) - niewielką instalację w kształcie krokodylej paszczy wykreowaną w 2009 r. z przewróconej bukowej karpiny przez profesora krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, Mieczysława Górowskiego (1941-2011). Nieco dalej, po tej samej stronie drogi, znajduje się obudowane w drewnianym pniu ujęcie wody źródlanej. To słabo zmineralizowana, średnio twarda woda, zdatna do picia.

Ok. 100 m dalej przekraczamy utwardzoną drogę (Aleja Naftowa) wiodącą w prawo do Lubatowej. Nieco niżej z lewej dołączają do nas biało-niebieskie znaki szlaku spacerowego wiodącego z centrum uzdrowiska przez „Bełkotkę” na górę Przedziwną. Wędrując niespiesznie wygodną dróżką, warto się przyjrzeć tutejszym lasom zarządzanym obecnie przez Nadleśnictwo Dukla. Do 1945 r. należały one do prywatnych właścicieli, te w Iwoniczu – do hrabiego Załuskiego. Kazimierz Chłędowski (1843-1920), wysoki urzędnik C.K. Austrii, a oprócz tego pisarz, urodzony w Lubatówce po drugiej stronie góry Winiarskiej w swych pamiętnikach wspominał o iwonickich „Łazienkach”, które wyróżniały się (…) *ładnym położeniem wśród jodłowych lasów*. Znał te tereny dobrze, bowiem jego ojciec, Otto Chłędowski, był w latach 1855-1860 zarządcą dóbr iwonickich i uzdrowiska.

W pobliżu naszej trasy spotkamy jeszcze czynne szyby naftowe

Szybki rozkwit uzdrowiska wymagał jednak wielkich ilości drewna: każdy wznoszony budynek wymagał średnio kilkuset metrów sześciennych, co przekładało się nawet na tysiąc ściętych drzew. Sporo zniszczeń w drzewostanach spowodowały prowadzone od 1888 r. poszukiwania i wydobycie ropy naftowej – właśnie przecinamy pas, w którym działało (a szczątkowo działa do dziś) najwięcej takich odwiertów. Wielkie obszary młodych lasów jodłowych, tzw. „drągowin”, zwłaszcza na południe od Iwonicza, wycięto w czasie I wojny światowej w trakcie walk toczonych tu w latach 1914-1915. Drewna używano do obudowy

okopów i wykładania dróg w terenie (tzw. „dylówek”) dla łatwiejszego transportu dział. Na terenie okolicznych lasów znaczne szkody wystąpiły w drzewostanach wskutek klęski mrozowej, jaka nawiedziła naszą część Europy na przełomie 1928 i 1929 r. Kolejne szkody poczynił huragan w 1931 r., kiedy powalone zostały lasy na zboczach Gloriety i Borowinowej. W 1933 r. nieprzemyślana wycinka ogołociła kilka hektarów stoków samej Winiarskiej. Również wielkie sanatorium „Excelsior”, otwarte w 1931 r. w górnej części Zdroju (w dole, po lewej stronie naszej drogi), wzniesiono na takim wielkim rąbanisku. Najbardziej cierpiała jodła: w tym czasie widoczne już było jej ustępowanie z drzewostanów kosztem rozprzestrzeniającego się buka. Wiele zniszczeń powstało również w czasie długotrwałych walk prowadzonych jesienią 1944 roku o Przełęcz Dukielską.

Panel informacyjny Nadleśnictwa Dukla w lesie pod Przedziwną

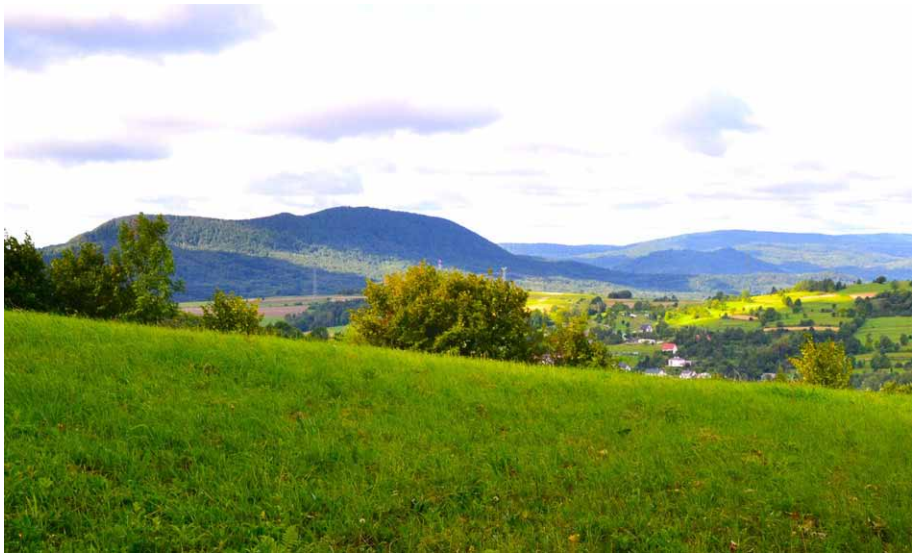

Widok z grzbietu przed Żabią Górą na Cergową (z lewej) i Chyrową (w głębi)

Widok z grzbietu przed Żabią Górą na Uhliska

Już w 1974 r. wyodrębniono z lasów nadleśnictwa w rejonie Iwonicza-Zdroju 235 ha jako tzw. Park Zdrojowy. W obejmującej 87 ha strefie „A” na terenie uzdrowiska zakazany jest wyrąb drzew. Przeprowadza się jedynie cięcia pielęgnacyjne oraz takie, które dotyczą bezpieczeństwa wzdłuż wielu poprowadzonych tu szlaków turystycznych, ścieżek dydaktycznych i spacerowych (a jest ich tu ok. 20 km!). Natomiast w strefie „B” prowadzone są cięcia hodowlane nakierowane na wspieranie naturalnych odnowień jodły.

Wiele podanych tu faktów można znaleźć na licznych tablicach informacyjnych usytuowanych w terenie staraniem nadleśnictwa. Ci Czytelnicy, którym uda się trafić do iwonickiego Zdroju w czasie wakacji, powinni starać się wziąć udział w organizowanych raz w tygodniu w godzinach wczesno popołudniowych (z reguły o 14.30, by mogli się „załapać” również kuracjusze z tutejszych sanatoriów) spacerach z leśnikiem po okolicznych stokach – to najlepsza okazja, by zdobyć jeszcze więcej wiedzy o iwonickich lasach z pierwszej ręki.

Wąska dróżka wznosi się nieznacznie na garb, który kilkadziesiąt

metrów po lewej kulminuje zalesionym szczytem Przedziwnej (551 m n.p.m.). Na mapach występuje on również pod nazwami Łysówki lub Krzemionki. Na wierzchołku znajdziemy ławeczki pod starym bukiem, ale bez widoków. Dróżka szybko obniża się w kolejną przełączkę, przez którą biegnie droga z doliny Iwoniczanki. Tu altana, tu także koniec znaków biało-niebieskich. Z dołu z lewej, z centrum uzdrowiska, dochodzi tu jednak kolejna, biało-zielona ścieżka spacerowa „na Żabią Górę".

Żabia Góra

Kontynuujemy spacer tą ścieżką (i wspomnianą drogą). Po wyjściu z lasu warto przystanąć na skraju polany, by ponad bliską doliną Lubatówki spojrzeć na ciemny masyw Cergowej (716 m n.p.m.) i wyłaniającą się zza niej z prawej Chyrową (694 m n.p.m.). Po chwili widoki otwierają się również na wschodnią stronę: pod nami mamy górną część doliny Iwoniczanki z osiedlem Turkówka, należącym już jednak do Lubatowej, a za nią stok wspina się ku wzniesieniu Uhlisk (611 m n.p.m.) z charakterystycznie uciętą czapą lasu i dwoma samotnymi drzewami na bezleśnym grzbiecie. Pola orne podchodzą tu pod sam grzbiet. Na ich obrzeżach wiosną kwitną tu tarniny, latem – dzikie róże i kalina koralowa. Teraz, z końcem sierpnia, krzewy ozdobione są już owocami, odpowiednio granatowymi, pomarańczowymi i czerwonymi.

Krótkie podejście wyprowadza nas na bezleśny wierzchołek Żabiej Góry (549 m n.p.m.) zwieńczony wysokim, stalowym masztem przekaźnika telekomunikacyjnego. Obok stoi metalowy krzyż. Pod masztem ławeczka i plansza wyjaśniająca interesującą, dookolną panoramę Beskidu Niskiego oraz Dołów Jasielsko-Sanockich.

Na szczycie znaki się kończą. Schodzimy z niego w kierunku wschodnim, wybierając dróżki poprowadzone miedzami do osiedla Lubatowej Za Górą. Przekraczamy wąską szosę prowadzącą z Iwonicza do tej wsi i biegnący wzdłuż niej czerwono znakowany Główny Szlak Beskidzki. Obok starszych zabudowań widać tu, tuż pod bezleśnym grzbietem, wiele nowych domów. W płytkim siodle grzbietu od wspomnianej drogi w kierunku wschodnim odbija wąski pasek asfaltu – to droga do Bałucianki. Przekraczamy nią mostek na źródłowym toku Iwoniczanki i uważając na pojazdy, wznosimy się nią dość mozolnie przez kilkanaście minut przez tzw. Las Wólecki. Towarzyszą nam z rzadka malowane i już mocno wyblakłe znaki łącznikowego szlaku spacerowego żółto-zielonego. Po wyjściu z lasu wydeptaną wśród łąki ścieżką odbijamy w lewo i podchodzimy do widocznego na spiętrzeniu grzbietu drogowskazu turystycznego.

Jesteśmy na Przymiarkach. Nazwą tą w szerszym pojęciu określa się długi na blisko 4,5 km grzbiet w paśmie Wzgórz Rymanowskich ciągnący się ze wschodu na zachód pomiędzy Desznem, górną częścią Rymanowa-Zdroju a osiedlem Za Górą, górną częścią Lubatowej. Jego najwyższym punktem jest Kopa (dawn. Patryja, 640 m n.p.m.) na wschodzie. Na zachodzie kończą go wspomniane Uhliska (też: Wólecka Góra, 611 m n.p.m.). W węższym pojęciu nazwa odnosi się do centralnej, zupełnie bezleśnej części tego grzbietu przez miejscowych zwanej po prostu Wierchem. Słynie ona z bardzo rozległej panoramy sięgającej przy dobrej widoczności jednocześnie po Bieszczady na wschodzie i Tatry Wysokie na zachodzie. Wrócimy do

Widok z Przymiarek na południe, ku dolinie Bałucianki

niej w kolejnym spacerze po Wzgórzach Rymanowskich.

Grzbietem Przymiarek dochodzi tu „normalny”, zielony pasek z Rymanowa-Zdroju, za którym będziemy teraz wracać do Iwonicza. Kierujemy się grzbietem na zachód. Wyraźna dróżka pokonuje pasemko lasu, skręcając ku północy. Trawersując stokami Uhlisk, obniżamy się łagodnie wśród rozległych łąk, które w zależności od pory barwią się kolorami coraz to innych kwitnących gatunków roślin zielnych. Miejscowi mówią o nich „Ruskie Pola”. Po lewej na grzbiecie widzimy te same dwa drzewa, które oglądaliśmy spod Żabiej Góry. Po prawej, za dolinką źródłowego odcinka potoku Klimkówka, ciągnie się kolejny bezleśny grzbiet, na którym do 1945 r. istniała łemkowska wieś o nazwie Wólka – również jego odwiedzimy w trakcie następnego spaceru.

W głębi Sucha Góra (611 m n.p.m.); na nagim grzbiecie stały kiedyś zabudowania wsi Wólka

Letni amfiteatr; za nim, zarośnięte już lasem, pozostałości skoczni narciarskich w Iwoniczu-Zdroju

Przed nami wznosi się zalesiona kopuła wzgórza Glorieta (552 m n.p.m.). Prawie od początku działania uzdrowiska było ono ulubionym celem wycieczek kuracjuszy. Od połowy XIX w. na jego szczycie, prawdopodobnie mniej zarośniętym lasem niż obecnie, stała duża altana z ławkami, co dało nazwę samemu wzgórzu. Później, do II wojny światowej, wznosiła się tu wieża widokowa oferująca dookolną panoramę.

Wkrótce osiągamy siodło przełęczy nad opadającą tu w lewo Stefanową Doliną. Pod lasem znajduje się wiata z ławami. Zielony szlak skręca w lewo w las i bystro obniżając się wzdłuż Jeleniego Potoku, spływającego wspomnianą doliną, sprowadza do doliny Iwoniczanki i biegnącej nią drogi do Lubatowej na wysokości letniego amfiteatru. Stąd w ok. 20 minut, za biegnącymi tu czerwonymi znakami Głównego Szlaku Beskidzkiego, możemy wrócić do centrum uzdrowiska.

Mirosław J. Barański

TOPR – Taksówkowa Obsługa Przerażonych Roszczeniowców i wrażenia z początku sezonu zimowego

To nie pierwszy raz, gdy wycieczkowicze odwiedzający Morskie Oko nie zwracają uwagi na zmieniające się warunki. Pisano i mówiono o tym niejeden raz. Niejeden raz roszczeniowi „turyści" prosili o pomoc TOPR, a były przypadki, że żądali pomocy przy przejściu od Morskiego Oka do parkingu na Palenicy, a nawet przewiezienia na parking przez służby takie jak TOPR czy Policja. W szeroko nagłośnionym przypadku w roku 2017 „noc" zastała nad Mokiem 45 osób, które żądały zwiezienia. Także tym razem (13.11.) okazało się, że **turyści zbyt długo zostali nad Morskim Okiem**. Posłużę się cytatem z portalu informacyjnego: *Około godz. 18 zeszli na Polanę Włosienica, gdzie zwyczajowo czekają konie zaprzęgnięte w wozy przystosowane do przewozu osób. Ku ich zaskoczeniu* ***okazało się, że o tej porze wozów już nie ma.*** *Dopiero wówczas zdali sobie sprawę, że na trasie do Morskiego Oka* ***konie nie kursują po zmroku,*** *który późną jesienią zapada już około godz. 16.****Turyści zawiadomili TOPR****. Przekonywali ratowników, że są zmęczeni i nieprzygotowani do pokonania pieszo i po ciemku liczącej 6,5 kilometra trasy z Polany Włosienica do parkingu w Palenicy Białczańskiej.*

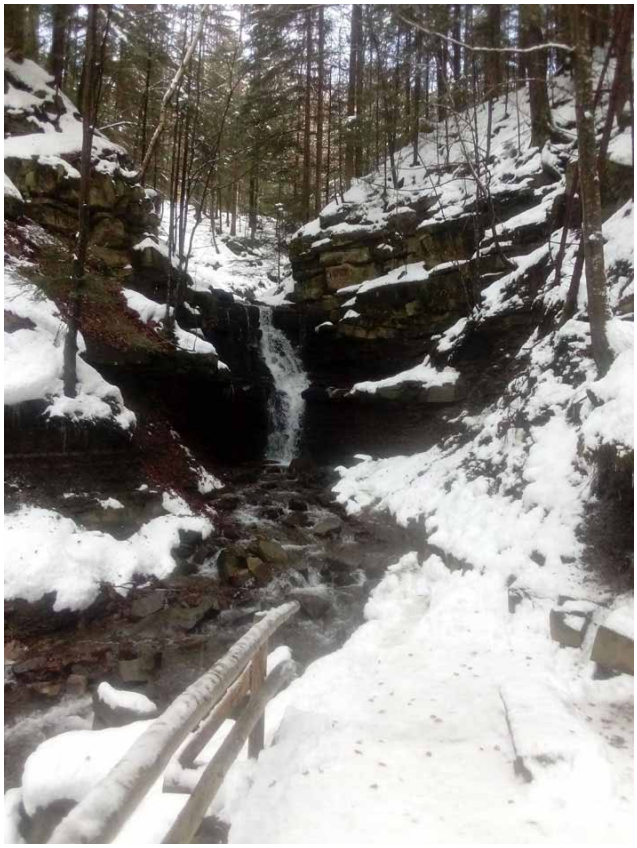

Zejście do wodospadu na Mosornym Potoku bywa zalodzone

Po raz kolejny tatrzańscy ratownicy nie ulegli naciskom tych osób. Jedyną trudnością w pokonaniu kilku kilometrów asfaltową drogą było to, że zapadła ciemność. Udało się skłonić grupę (30 osób) do samodzielnego przejścia na Palenicę. O tym, że owi „turyści" nie byli przygotowani do pobytu w górach świadczy choćby to, że tylko jedna osoba miała latarkę. Od lat droga do Morskiego Oka traktowana jest jak deptak, promenada, niemal miejska ulica z komunikacją publiczną. Onegdaj grupa „turystów" zgłosiła pretensje do TPN, że na owej drodze nie ma ulicznych lamp. Te zachowania świadczą o marnej orientacji wśród wielu gości Zakopanego, co to są góry, w jakim miejscu się znajdują i o jakiej porze roku.

Ale nie tylko droga Morskie Oko – Włosienica – Palenica jest miejscem, gdzie niefrasobliwi „turyści" wybierają się niewłaściwie przygotowani i nie chodzi tylko o brak światła. W „sieci" krążą nagania, na których widać, w jakim obuwiu wędruje wiele osób, a nie jest to obuwie nadające się do chodzenia zimą nawet po asfaltowej drodze, nie mówiąc o krótkiej ścieżce od schroniska na brzeg Morskiego Oka. Tam dopiero się wyrabia, nie pomagają barierki wzdłuż zejścia. Ale wracając do światła. Na początku grudnia zajrzałem do Zawoi i pod Babią Górę na Markowe Szczawiny. Przez trzy dni od poniedziałku do środy przyglądałem się ruchowi turystycznemu w Zawoi, na Babiej i na Markowych. Pogoda przez cały weekend i kolejne dni sprzyjała wycieczkom w okolice i wyjściom na Babią Górę. Przez schronisko przewinęło się trochę turystów, głównie dochodzących Górnym Płajem od Krowiarek, ale także pokonujących trasę Krowiarki – Diablak (szczyt Babiej) – Przeł. Brona – Markowe Szczawiny. Muszę przyznać, że większość, może 90%, chodziła w raczkach turystycznych, które na tych szlakach „dają radę", choć w dwóch miejscach, jak widziałem, użytkownicy mieli trudności i w podejściu, i w zejściu, zwłaszcza ci bez kijków turystycznych. Jest to odcinek szlaku czerwonego pod sama Broną i stromy odcinek pod Złotnicą. Uczulam więc wybierających się na Babią na te fragmenty czerwonego szlaku. Niektórzy z trudem pokonywali wspomniane odcinki. Raczki doskonale sprawdzają

Na babiogórskim grzbiecie na początku grudnia

się na niewielkich pochyłościach, na stromiźnie nie zawsze trzymają. Duże znaczenie ma stan podłoża, tego czy śnieg jest świeży, zsiadły, ubity na „beton" czy występuje oblodzenie(*).

Siedząc w jadalni schroniska, gdzieś ok. godz. 16.30 – 17-tej widziałem turystów wychodzących ze schroniska bez światła kierujących się nie na łatwy, spacerowy szlak wiodący do parkingu na Krowiarkach, tylko do góry w kierunku Przełęczy Brona. Chyba liczyli na księżycową poświatę. Na szlaku wiodącym przez las trochę to nieroztropne, mimo śniegu nie zawsze widać, co jest pod nogami. Po wyjściu ponad las i piętro kosodrzewiny można iść w świetle księżyca, przy czym wyłącznie przy dobrej widzialności. Babia Góra spowita chmurami jest naprawdę niebezpieczna, zwłaszcza dla tych, którzy nie znają topografii, przebiegu szlaków i ukształtowania terenu. Gór nie należy demonizować, ale trzeba je szanować, każde góry, nie tylko te wyższe i najwyższe. Wiele osób lekceważy góry, wielu wychodzi na trudne szlaki w trudnych warunkach, będąc w górach po raz pierwszy. Szczerze odradzam takich praktyk. Nie w każdych warunkach można bezpiecznie poruszać się zimą nawet na nietrudnych, oznakowanych szlakach pieszych. Odradzam wychodzenia po świeżym opadzie śniegu. Tylko na początku jest to atrakcja, przestaje nią być dość szybko, szczególnie gdy mamy na sobie ciężki plecak. Warto odczekać dzień lub dwa aż warstwa śniegu nieco osiądzie. **Wychodzenie po świeżym opadzie na szlaki wysokogórskie jest skrajnie niebezpieczne,** po prostu nie wiadomo, po czym się idzie, gdyż śnieg całkowicie maskuje teren. **Przypominam o śledzeniu prognoz pogody i komunikatów lawinowych.** Z lawinami żartów nie ma. Bierzmy to pod uwagę przed wyjazdem na górski odpoczynek. Przypomniałem wyżej kilka banalnych zasad znanych chyba wszystkim. Tylko czy wszyscy pamiętają o nich, wychodząc w góry?

Suplement (*) 7 grudnia na Rysach miał miejsce typowy zimowy wypadek. Turystka spadła spod szczytu ok. 400 m i…..wyszła z tego niemal bez szwanku. - *Cudowne ocalenie. Turystka spadła rysą, zatrzymała się u wylotu. Z obrażeniami została przewieziona do zakopiańskiego szpitala, ale z tego, co wiemy - nie były to obrażenia zagrażające życiu. Olbrzymie szczęście* – to komentarz ratownika TOPR. Turystka była odpowiednio wyposażona w sprzęt zimowy: raki, czekan i kask. Być może potknęła się, o co, idąc w rakach, nietrudno. Raki ułatwiają poruszanie się w trudnym terenie, ale także mogą sprawiać kłopoty. Potknięcie, zahaczenie rakiem o rak to częsta przyczyna upadków i wypadków. Wracając do śniegu. Prawdopodobnie stan śniegu spowodował, że turystka nie odniosła większych obrażeń, spadała w rozmiękłym śniegu, który zmniejszał prędkość „lotu". Gdyby działo się to na twardej, zlodzonej skorupie rozebrałoby ją z ubrania i mogłaby nie wyjść z tego żywa.

Góry Choczańskie w samo południe

Na zdjęciach początek zimy w Beskidach

Juliusz Wysłouch

Spacer Wąwozem Wielki Sokół

Trekking Wąwozem Wielki Sokół (Veľký Sokol) znajdującym się w zachodniej części płaskowyżu Glac na Słowacji jednym wyda się niezwykłą przygodą, innym ciekawym przejściem górskim. Tak czy inaczej warto wybrać się tam, by osobiście się o tym przekonać.

Wąwóz ten uważany jest za najdłuższy, najgłębszy i najdzikszy ze wszystkich krasowych wąwozów Słowackiego Raju. Wędrując nim, zobaczymy liczne progi skalne, wywierzyska czy wodospady. Ponieważ nikt nie usuwa przewróconych pni, a cała trasa usłana jest zalegającymi w wodzie kamieniami, jego przejście nie należy do łatwych. Ale kto powiedział, że musi być lekko i łatwo? To właśnie ta dzikość powoduje, że przybywa tu coraz więcej turystów. Co prawda, w wielu miejscach przygotowano sztuczne ułatwienia w postaci drewnianych i metalowych podestów oraz drabin, ale i tak niewprawieni w takim terenie turyści długo będą wspominać jego przejście.

Zanim wyruszymy w trasę, dodam, że pierwszego turystycznego przejścia wąwozu dokonali 20 sierpnia 1898 roku Martin Róth, Michal Karolíny oraz botanik dr Nándor Filarszky. Podczas kolejnego przejścia, miesiąc później, Wilhelm Forberger wykonał pierwsze znane fotografie dokumentujące piękno wąwozu.

Główny inicjator przejścia Martin Róth (1841-1917), nauczyciel gimnazjalny w Nowej Wsi Spiskiej był znanym działaczem turystycznym udzielającym się w Węgierskim Towarzystwie Karpackim. To z jego inicjatywy podejmowano w tamtych czasach budowę znakowanych szlaków turystycznych oraz schronisk górskich. Jego zasługi dla turystyki zostały upamiętnione m.in. nadaniem nazwy Róthova roklina wąwozowi skalnemu będącemu najwyższą częścią doliny Veľký Sokol.

Kontynuując turystyczne udostępnianie wąwozu, w 1956 roku członkowie Horskej służby Slovenský raj zamontowali pierwsze stalowe drabinki. W latach późniejszych pojawiły się kolejne ułatwienia w postaci łańcuchów, kładek czy ażurowych podestów mocowanych w skałach znanych jako stupačky. Wszystkie te ułatwienia są dla dzisiejszych wędrowców wprost nieocenioną pomocą, zważywszy na trudno dostępne odcinki wąwozu, które bez tych ułatwień po prostu byłyby nie do przejścia. Tak po prawdzie to każdy wybierający się na spacer tym wąwozem musi liczyć się z tym, że nie przejdzie go suchą nogą. Warto zatem zabrać z sobą zapasowe skarpety, by na końcu trasy je zmienić.

Dolina Veľký Sokol w całości objęta rezerwatem przyrody Sokol znajduje się na terenie Parku Narodowego Słowacki Raj. W celu zapewnienia bezpieczeństwa turystom wytyczony tu szlak koloru żółtego o długości 5,5 km można przejść tylko w jednym kierunku, czyli pod prąd płynącego potoku Sokol. W sumie trzeba się liczyć z podejściem około 300 metrów różnicy wysokości.

Naszą wędrówkę rozpoczynamy z parkingu Sokol, gdzie możemy zostawić swój samochód. Początkowo nic nie wskazuje, by trasa miała jakieś utrudnienia. Jednak po około pół godziny marszu zaczynają się pierwsze przeszkody. Największą trudność stanowią poprzewracane pnie drzew tworzące nieraz spiętrzenia wymagające wielkiej uwagi. Oczywiście, częste przejścia z jednej strony strumienia na drugą będą okazją do przemoczenia butów. Ponieważ dalej wcale nie będzie lepiej, nie warto się tym przejmować.

Wkrótce docieramy do miejsca zwanego Kamiennymi Wrotami (Kamenné vráta) z największym nagromadzeniem progów skalnych, wywierzysk, wodospadów i wąskich przejść. To tutaj zaczynają pojawiać się drabiny i kładki, bez których nie przeszlibyśmy dalej. Ciekawostką jest to, że docierając pod Veľky vodopád mamy wrażenie, iż poprzedni, Malý vodopád, był większy. I wcale się nie pomylimy. Mały wodospad jest nim tylko z nazwy. Ma on bowiem 8 metrów wysokości. Aby go pokonać, trzeba wspiąć się po metalowej drabinie, a później przejść nad nim po mostku. Duży wodospad wbrew swojej nazwie jest o półtora metra niższy od poprzedniego. Tutaj jednak zanim dotrzemy do wąskiej drabiny, musimy pokonać bardzo eksponowane stopnice. Na szczęście wsparciem są zamontowane solidne łańcuchy.

Po takich emocjach chciałoby się nieco odsapnąć. Nie będzie to jednak nam dane. Teraz przed nami, według mnie, najbardziej ekscytujący odcinek wąwozu. Najpierw zobaczymy zamontowaną na skale tablicę upamiętniającą wspomnianego już odkrywcę tego pięknego miejsca Martina Rótha. Miejsce to nazwano Róthova roklina.

Tak po prawdzie nie wiadomo, co robić, podziwiać widoki czy uważać na to, jak stawiamy stopy. Jest tutaj bardzo niebezpieczne. Śliskie pnie drzew, wąskie metalowe drabinki, niekoniecznie dopasowane wytrzymałością do obciążenia. Prawdopodobnie projektanci nie przewidywali, że po drabinkach będzie się wspinało na raz tyle osób. Dlatego są one w wielu miejscach powyginane.

Jeśli na trasie nie ma zbyt wielu osób, warto wspinać się tutaj powoli, co chwilę zatrzymując się i uważnie rozglądać. Miejsce to jest wyjątkowe. Momentami ściany wznoszące się ponad 300 metrów nad nami niemal schodzą się do siebie tak, że mamy wrażenie, iż nie przejdziemy dalej.

I tak po około 2,5 do 3 godzin docieramy do miejsca zwanego Glacká cesta na wysokości 899 metrów n.p.m. Jest to koniec wąwozu. Teraz możemy odpocząć i zmienić mokre odzienie, zwłaszcza skarpety.

Po odpoczynku musimy rozpocząć powrót do miejsca, z którego wyruszyliśmy. Pamiętając jednak, że żółty szlak, którym tutaj przyszliśmy, jest drogą o jednym kierunku marszu musimy udać się za znakami czerwonymi przez Glac i miejsce zwane Malá polana do rozdroża Palc, gdzie ponownie zobaczymy znaki szlaku turystycznego koloru żółtego. Będzie to jednak inny szlak prowadzący do miejscowości Píla. My oczywiście pójdziemy dalej za znakami czerwonymi przez Diabelską Dolinę (Diablova dolka), by tracąc wysokość dotrzeć w końcu do miejsca, w którym zostawiliśmy nasz samochód. I tak oto zamknęliśmy pętelkę liczącą około 15 kilometrów.

Ponieważ możemy czuć niedosyt informacji krajoznawczych, dodam, że nazwa wąwozu Wielki Sokół według legendy ma związek z pewnym tragicznym wydarzeniem. Otóż gdy pewna kobieta przyniosła pracującemu w górach mężowi posiłek, na moment położyła swoje małe dziecko na łące. Zanim zauważyła, nadfrunął wielki sokół, który porwał niemowlę. Niestety, nie udało się malca uratować. Ponoć jakiś czas później w wąwozie znaleziono jego kości. Nie była to jedyna ofiara wąwozu. W historii eksploracji doliny miało miejsce jeszcze kilka zakończonych tragicznie wypadków.

Krzysztof Tęcza

Alpy (5) – z Chamonix na Aiquille du Midi (3842 m)

Tym razem przejechaliśmy do Chamonix, by dotrzeć na Aiquille du Midi – szczyt wznoszący się na niebotyczne 3842 metry ponad poziom morza. Możecie sobie to wyobrazić? Coś niebywałego! Oczywiście, uznaliśmy, że skorzystamy z wyciągu linowego. Nie było sensu męczyć się, wchodząc pieszo. Jak się okazuje, dwuczęściowa kolejka na szczyt jest uznawana za najwyższą kolej we Francji, a także za najwyższą kolej linową, jeśli chodzi o wjazd pionowy. Została uruchomiona w 1955 roku. Sama Aiquille du Midi ma dwa wierzchołki, niższy (północny) o wysokości 3795 metrów i wyższy (południowy) o wysokości 3842 metry n.p.m. Oba wierzchołki są połączone mostem, a na wyższy wozi winda umieszczona w wydrążonym wewnątrz góry tunelu.

Co ciekawe, to pierwszego wejścia na szczyt dokonał nasz rodak Antoni Malczewski w 1818 roku. Towarzyszył mu Jean-Michel Balmat oraz pięciu przewodników. Jeśli chodzi o niższy wierzchołek, to pierwszymi, którzy na nim stanęli byli Jacgues Balmat i Michael-Gabriel Paccard. Dokonali tego w 1786 roku.

Wjeżdżając na szczyt, mamy niemal 2800 metrów różnicy poziomów, co często przyczynia się do niedyspozycji osób niechodzących po wysokich górach. Trzeba podkreślić, że druga część wyciągu została tak zbudowana, iż lina podtrzymująca wagonik wspiera się tylko w dwóch miejscach usytuowanych na początku i na końcu wjazdu.

Na szczycie mamy do dyspozycji tarasy widokowe, małe muzeum, kino, restaurację. Największą jednak atrakcją jest szklana klatka zawieszona nad tysiącmetrową przepaścią. To właśnie do niej ustawia się najdłuższa kolejka chcących zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Aby

szklana posadzka klatki nie została uszkodzona, każdy wchodzący do niej musi założyć filcowe kapcie, takie, jakich kiedyś używano w muzeach. Osoby chcące doznać większej dawki adrenaliny wychodzą na lodowiec. Dla bezpieczeństwa wejście jest odgrodzone metrowej wysokości płotkiem. Dlatego trzeba go przeskoczyć. Nie jest to wcale takie łatwe, gdyż wychodzący na zewnątrz najpierw zakładają raki, bez których chodzenie po lodowcu jest zabronione. Poszczególne ekipy dodatkowo wiążą się linami.

Gdy dotarłem na szczyt, pogoda nie sprzyjała pięknym widokom. Silny wiatr co chwilę skrywał wszystko w chmurach. Dopiero gdy zdecydowaliśmy o zjeździe na dół, jak za dotknięciem zaczarowanej różdżki chmury rozeszły się i naszym oczom ukazało się całe piękno Alp. Nic dziwnego, że stąd wyruszają chętni na zdobycie najwyższego szczytu Europy Mont Blanc.

Ponieważ na szczycie temperatura wynosiła -1 stopień Celsjusza, zjechaliśmy na stację pośrednią, z której po odpoczynku ruszyliśmy na naszą dzisiejszą wędrówkę.

Plan de L'Aiquille leży na wysokości 2317 metrów n.p.m., dlatego przed nami długi trawers w stronę hotelu Montenvers. Na szczęście tutaj pogoda była taka, o jakiej myśleliśmy. Świeciło słońce i można było spokojnie pokonywać kolejne wzniesienia i zejścia. Tym bardziej, że przed nami było kilka godzin marszu.

Początkowo dotarliśmy do położono na 2207 m n.p.m. schroniska Refuge du Plan de l'Aiqille. Dalej wędrowaliśmy przez miejsce zwane La Tapia (2150 metrów n.p.m.), by spotkać pasterki pilnujące niewielkie stadko owieczek. Najlepszy był ich pies, który wykonywał komendy podawane gestami czy wręcz skinieniem głowy lub mrugnięciem powiek. Skutecznie pilnował porządku zarówno w stadzie, jak

i utrzymywał nas w bezpiecznej od niego odległości.

Podążając ścieżką przez rumowiska skalne, cały czas mieliśmy pod nami widok na Chamonix. Jednak ucieszyliśmy się, gdy dojrzeliśmy jakieś zabudowania na naszej wysokości. Mieliśmy świadomość, że czeka nas tam odpoczynek.

Jak się wkrótce okazało, nie do końca tak miało być. Dotarliśmy do Montenvers (1913 metrów n.p.m.). To właśnie tutaj stworzono możliwość wejścia do wydrążonych w lodowcu tuneli. Niestety, lodowce wciąż topnieją. Gdy wybudowano kolej zębatą do tego miejsca, lodowiec cofnął się na tyle, że aby go przybliżyć turystom, wybudowano koło ostatniej stacji kolejki górskiej wyciąg gondolowy zwożący chętnych kilkadziesiąt metrów niżej. Tam wybudowano ciąg schodów prowadzących do wejścia w tunele. Muszę przyznać, że nie było lekko, ponad 200 schodów, a przecież jeszcze trzeba było wejść z powrotem na górę, by wyciągiem wjechać na stację.

Warto jednak było się pomęczyć. Odczucia wewnątrz lodowca były niesamowite. Już sam kolor lodu, przebijający błękit błyszczący w topniejącym lodzie, do tego śliska posadzka, po której spływała woda z lodowca. Nie mówię tutaj o niskiej temperaturze – to było oczywiste. Przejście przez „Jaskinię Lodową" pełną podświetlanych rzeźb wykonanych w czystym lodzie na pewno pozostawi w nas wspaniałe wspomnienia.

Lodowiec Mer de Glace (po polsku Lodowe Morze), który podziwialiśmy, to najdłuższy lodowiec we Francji. Początkowo lodowiec powiększał się, co zaczęło zagrażać położonej poniżej miejscowości. Gdy jego jęzor spłynął do doliny Chamonix, postanowiono podjąć stanowcze kroki, by zażegnać niebezpieczeństwo. Zorganizowano procesję, którą poprowadził Karol Salezy, biskup pomocniczy w Genewie. Ruszył on na czele 300 parafian i gdy dotarł na miejsce, egzorcyzmował lodowiec. Jak się okazało, przyniosło to oczekiwany skutek i lodowiec cofnął się. Po pewnym jednak czasie lód ponownie zaczął zbliżać się

do Chamonix. Powtórzono wówczas egzorcyzmy. Ten sposób obrony przed nieszczęściem podejmowano w latach 1644, 1664 i 1669. Dzisiaj lodowiec skutecznie powstrzymuje ocieplenie klimatu. Jest to na tyle kłopotliwe, że jak to zobaczyliśmy, lodowiec jest przykrywany płachtami chroniącymi go przed ciepłymi promieniami słonecznymi.

Dodam jeszcze, że pierwszymi osobami, które dotarły na lodowiec w 1741 roku, byli Anglicy William Windham i Richard Pocock. To właśnie oni nadali mu nazwę „Mer de Glace". To dzięki rozpowszechnieniu spisanej przez nich relacji z wyprawy angielskich arystokratów, żołnierzy, podczas której spotkali się oni z miejscowymi mnichami, Europa zachwyciła się tymi terenami. Powszechnie uważa się to za początek turystyki w Chamonix. Wykonali oni wówczas rysunek przedstawiający wszystkich wspomnianych na tle masywu Mont Blanc. Niestety, rysunek ten zaginął, ale zachował się namalowany na jego podstawie obraz.

Ostatnia część przejścia to przejazd kolejką zębatą do Chamonix. Tak po prawdzie była to nie tyle przyjemność co prawdziwa rozpusta. Siedzieliśmy sobie wygodnie, oglądając krajobrazy, a czerwony pociąg zjeżdżał powolutku w dolinę.

Kolejka zębata została wybudowana dla potrzeb otwartego w 1880 roku Grand Hotelu du Montenvers. Miała ona zastąpić muły wykorzystywane do transportu turystów. Pierwszy wjazd odbył się w 1908 roku, czyli po 16 latach od podjęcia decyzji o jej budowie. Trasa ma 5 kilometrów długości, ale na tak krótkim odcinku pociąg pokonuje niemal 900 metrów przewyższenia.

Dzisiaj brak tego pociągu jest nie do pomyślenia. No bo jak byśmy się tutaj dostawali?

Krzysztof Tęcza

U wylotu Rodanu (5)

Jeśli w wyszukiwarce internetowej wyklikamy dziś „Genewa”, to najpóźniej na drugiej z kolei ilustracji pojawi się nam „Jet d’Eau”. No i racja , bo czy ktoś potrafi wyobrazić sobie obecnie Genewę bez jej słynnej „fontanny” na jeziorze? Wbrew temu, co można by sądzić, nie jest to takie trudne! Wystarczy przyjechać do tego miasta np. w listopadzie. A i w sezonie bywa ona od czasu do czasu wyłączana z różnych powodów technicznych. Mało kto zdaje sobie jednak sprawę, że jej powstanie nie wynikało z próżności władz municypalnych pragnących koniecznie wynaleźć jakiś niebanalny symbol miasta, a z wymogów ściśle technicznych. Ale aby do tego dojść, musimy cofnąć się głęboko w przeszłość.

Dzielnica Eaux-Vives i Jet d’Eau w widoku z wieży genewskiej katedry

Wylot Rodanu w Genewie w 1949 r. (fot. W. Friedli); zbiory Biblioteki Uniwersytetu w Zurychu (Wikimedia)

Potrzeba wody

Spacerując dziś ulicami i uliczkami Genewy, wyjątkowo czystymi jak na tak duży organizm miejski, w dodatku zamieszkały przez niesłychanie zróżnicowany (pod każdym względem!) konglomerat ludnościowy, z trudnością jesteśmy w stanie wyobrazić sobie, jak wyglądało to miasto 300-400 lat temu. Wodę, niezbędną w gospodarstwach domowych, czerpano wówczas w większości z Rodanu bądź z jeziora. Był to wyraźny regres w stosunku do czasów rzymskich, kiedy w II czy III wieku wodę do miasta, w ilości ok. 6 tys. litrów na minutę, dostarczał 11-kilometrowej długości akwedukt ze źródlanych ujęć w Cranves u stóp alpejskiego masywu Voirons. Wieki średnie – to wieki „ciemne”: ani Burgundczycy ani hrabiowie Genewy nie byli w stanie odpowiednio zadbać o tę konstrukcję i dziś pozostały po niej już tylko nieliczne ślady. Rozwijające się intensywnie od XV w. miasto potrzebowało wody. Jedynie nieliczne gospodarstwa domowe i warsztaty posiadały bezpośredni dostęp do wód Rodanu lub samego jeziora. Większość z nich, usytuowana w większej odległości, musiała polegać na wodzie donoszonej lub dowożonej przez woziwodów.

„Machina”

Archiwalna fotografia przedstawiająca wylot Rodanu z Jeziora Genewskiego pochodzi z 1949 r. Przesuwając wzrok od góry ku dołowi, z biegiem Rodanu, czytelnik rozróżni z łatwością obiekty, o których pisałem w poprzednich odcinkach cyklu: Pont du Mont-Blanc, Île Jean-Jacques-Rousseau, Pont des Bergues. Jeszcze niżej dostrzeże kolejny most oraz niewielki, prostokątny, biały budynek pośrodku nurtu. Ów most, a właściwie kładka dostępna tylko dla pieszych i rowerzystów, to Pont de la Machine, zaś „Machina” mieściła się kiedyś we wspomnianym budynku. Aby wyjaśnić, o jaką „Machinę” chodzi, musimy się znów cofnąć, tym razem do początku XVIII w.

W 1709 roku Joseph Abeille zbudował przy wejściu do lewego odgałęzienia Rodanu pierwszą „maszynę hydrauliczną” (fr. *machine hydraulique*), od której wziął nazwę przyszły most, aby pompować wodę z rzeki do miejskich „fontann”. Była to pompa wodna napędzana siłą samego Rodanu. Przy tym należy zaznaczyć, że francuskie „la fontaine” nie oznacza tu wodotrysku, ale publiczne źródło wody – kilka takich „fontann”, wyposażonych w wielkie, kamienne koryta, można jeszcze obejrzeć w mieście. Wymagało to wybudowania zapory z łamanego kamienia narzutowego i drewna. Około 1770 r. podobna zapora powstała przy wejściu do prawej odnogi.

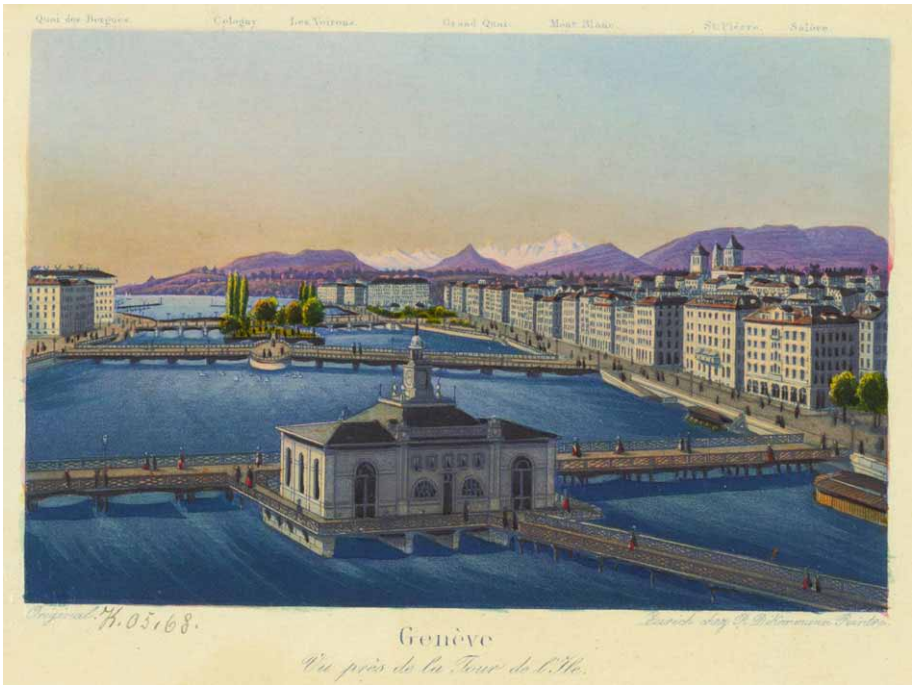

Wylot Rodanu od strony Île, na pierwszym planie budynek „Machiny”, Pont de la Machine i kładka na Île (lata 1862-1884); zbiory Szwajcarskiej Biblioteki Narodowej (Wikimedia)

Wobec ciągłego wzrostu zapotrzebowania na wodę w 1841 roku Jean-Marie Cordier zaprojektował nową maszynę hydrauliczną. Zbudowana w 1843 r. mniej więcej w środkowej części koryta rzeki zastąpiła stare urządzenia. Można się było do niej początkowo dostać za pomocą drewnianej kładki łączącej ją z sąsiednią wyspą na Rodanie zwaną Île. Wkrótce (1844) obiekt uzupełniono jednak o kładkę dla pieszych rozciągającą się nad zaporą przez całe koryto rzeki.

Jedna z zachowanych „fontann” na wzgórzu genewskiego Starego Miasta

Już z końcem XVIII w. inwestycje u wylotu Rodanu zaczęły być przedmiotem sporów władz Genewy z przedstawicielami gmin usytuowanych na brzegu Lemanu. Protestowali oni przeciwko rzekomemu podnoszeniu poziomu wody w jeziorze, co miało powodować dla nich kosztowne utrudnienia. Tu warto jednak na chwilę wrócić do postaci generała Dufoura, o którym pisałem w poprzednim numerze „NS” i o jego limnimetrze zainstalowanym na Pierre du Niton. Już w grudniu 1843 r. w Genewie przedstawiono Towarzystwu Fizyki i Historii Naturalnej (fr. *Société de physique et d’histoire naturelle de Genève*) pierwsze wyniki z ponad 20 lat systematycznych obserwacji poziomu wody w jeziorze. Dufour wykazał, że niedawne zmiany w porcie genewskim, w tym „maszyna hydrauliczna” zbudowana w 1709 r., a zastąpiona później nowymi instalacjami, nie miały znaczącego wpływu na poziom jeziora.

Z czasem jednak kolejne „machiny” w połączeniu z innymi czynnikami spowalniającymi przepływ Rodanu w tym rejonie rzeczywiście zaczęły powodować stopniowy wzrost poziomu wody w Jeziorze Genewskim. Konflikt między kantonami Vaud i Genewy trwał prawie stulecie. Sprawa trafiła nawet w 1877 r. do Sądu Federalnego i zakończyła się dopiero podpisaniem konwencji szwajcarsko-francuskiej, która ostatecznie zamknęła ten spór w roku 1884. Dzięki późniejszym regulacjom (1892) zapewniony jest stały, średni poziom

lustra wody w jeziorze na wysokości 372 m n.p.m. Wiosną w latach przestępnych jest on obniżany o 0,5 m, aby umożliwić czyszczenie brzegów jeziora oraz konserwację portów i wałów.

Sama „Machina", która stała się własnością miasta Genewy, przeszła w 1886 roku gruntowną transformację: po zamontowaniu turbin i generatorów stała się pierwszą elektrownią genewską przeznaczoną do wytwarzania energii elektrycznej, w szczególności na potrzeby oświetlenia miejskiego. Moc wyjściowa wynosiła około 700 kW. Produkcja energii elektrycznej trwała do ok. 1898 roku.

Pont de la Machine i budynek „Machiny" od strony jeziora

Pont de la Machine

Podział Rodanu na dwa oddzielne kanały (zasilający na lewym ramieniu i regulacyjny na prawym) doprowadził do przebudowy, odpowiednio w 1884 i 1887 roku, południowego i północnego odcinka kładki. Zbudowano ją z kutego żelaza i przykryto drewnianym pokładem pokrytym asfaltem. Zmiana konstrukcji pozwoliła mostowi na podtrzymanie nowej zapory podzielonej na 39 kurtyn z drewna modrzewiowego rozkładanych jak żaluzje. Umożliwiło to osiągnięcie maksymalnej wysokości piętrzenia wynoszącej 3,30 m. Most, długości 160 m, wybudowany w latach 1884-1887 między Quai des Bergues i dzisiejszym Quai Bezanson-Hugues, jako jedyny nigdy nie został przebudowany i jest najstarszą konstrukcją inżynieryjną tego rodzaju w Genewie. Płyta mostu spoczywa na czterech filarach po stronie lewego i trzech po stronie prawego brzegu.

Wiatr i słońce zdobią pióropusz Jet d'Eau łukiem tęczy

Pont de la Machine był przedmiotem licznych prac konserwacyjnych, które prowadzono od lat 40. XX wieku. W 1995 roku zapora, która od 1931 roku znajdowała się w gestii Services Industriels de Genève (SIG), została rozebrana, ponieważ rolę regulacyjną przejęła funkcjonująca do dziś nieco niżej zapora Seujet. Budynek „machiny", zbudowany w 1872 r., został całkowicie przekształcony w przestrzeń publiczną. Znajduje się tu Cité du Temps, kultowe miejsce dla fanów marki Swatch, gdzie stale eksponowane są chronometry tej marki, a także pasaż informacyjny miasta Genewy i przestrzeń wystawowa SIG pod nazwą „Quartier Libre".

W latach 2007-2009 przeprowadzono kompleksową renowację mostu, której celem było również stworzenie ramp dostępowych i platformy nad wodą. Renowację przeprowadzono z poszanowaniem oryginalnego wyglądu obiektu, w szczególności stosując montaż konstrukcji za pomocą ręcznego nitowania na gorąco, co jest dziś technologią praktycznie wymarłą.

Latem 2014 i 2015 roku, z okazji dwusetnej rocznicy przystąpienia Genewy do Konfederacji Szwajcarskiej, na pływającej platformie o powierzchni 900 m^2 (30 x 30 m) funkcjonował niewielki basen kąpielowy w kształcie krzyża szwajcarskiego. Woda z Rodanu była filtrowana, a następnie podgrzewana ciepłem odpadowym z klimatyzacji sąsiedniego hotelu Four Seasons „Hôtel des Bergues", znanego już

czytelnikom z drugiego spaceru „U wylotu Rodanu” („NS” styczeń 2025).

Jet d’Eau

W XIX wieku Genewa znacznie się rozwinęła: w 1850 roku liczba jej mieszkańców wzrosła do ok. 45 000, a w 1890 roku do 64 000. Zaopatrzenie w wodę było sprawą priorytetową, zarówno dla rozwijającego się przemysłu, jak i dla mieszkańców. Podjęto zatem decyzję o budowie poniżej wyspy Île zupełnie nowej stacji pomp zwanej dziś Coulouvrenière. Została ona uruchomiona 17 maja 1886 r. Korzystały z niej zwłaszcza liczne fabryczki i warsztaty rzemieślnicze. Wieczorem, gdy zatrzymywały się maszyny, w instalacji gwałtownie rosło ciśnienie, a technicy z Coulouvrenière musieli natychmiast zatrzymywać pompy. Rozwiązaniem było zainstalowanie zaworu bezpieczeństwa, który ograniczał ciśnienie poprzez upuszczenie nadmiaru wody z instalacji. W ten sposób pewnego wieczoru genewczycy mogli ujrzeć pierwszą „fontannę” o wysokości ok. 30 metrów, która trysnęła wodą na skraju pompowni. W 1889 roku zawór bezpieczeństwa przeniesiono do zbiornika Bessinge usytuowanego na wschodnim brzegu Jeziora Genewskiego w pobliżu Cologny. Wkrótce wyrzucane przezeń strugi wody stały się jedną z atrakcji miasta odwiedzanego już wówczas przez coraz liczniejsze rzesze turystów.

Jet d’Eau wieczorową porą

W 1891 roku, z okazji 600. rocznicy Konfederacji Szwajcarskiej, Rada Administracyjna Genewy, świadoma walorów estetycznych i turystycznych takiego urządzenia, podjęła decyzję o budowie zupełnie nowego wodotrysku na końcu molo w dzielnicy Eaux-Vives w samym sercu portu. Wodotrysk, który strzelał wodą na wysokość 90 metrów, został uroczyście uruchomiony i podświetlony 2 sierpnia tego samego roku podczas federalnego festiwalu gimnastycznego. Tu ciekawostka: inżynierem odpowiedzialnym za projekt wodotrysku i jego wdrożenie był Oscar Herzog, w przyszłości dziadek wybitnego alpinisty Maurice’a Herzoga, pierwszego w historii zdobywcy szczytu 8-tysięcznego (Annapurna w 1950 r.).

Pierwotnie „fontanna” składała się z potężnego centralnego strumienia i czterech mniejszych strumieni ułożonych w kształt wachlarza, które później usunięto. Początkowo działała tylko w niedziele i była oświetlana reflektorami zainstalowanymi na tratwie zacumowanej w porcie. Do podświetlania strumienia wody używano kolorowych świateł, ale ostatecznie pozostawiono tylko białe dające najbardziej spektakularny efekt. Oświetlanie przerwano w 1931 r., gdyż na nabrzeżach zrobiło się zbyt jasno, aby efekt był zauważalny. W 1906 r. zainstalowano pompy napędzane silnikami, co umożliwiło dostarczanie wody do fontanny przez cały tydzień. W 1951 r., po zainstalowaniu nowych pomp, maksymalna wysokość strumienia została podniesiona do 140 m.

A teraz kilka liczb. Instalację Jet d’Eau zasilają dwa zespoły moto-pompowe o łącznej mocy 1000 kW (2 x 500 kW), które tłoczą około 500 litrów wody na sekundę z prędkością wylotową 200 km/h. Nazwy nadane obu zespołom pochodzą od nazw pasm górskich w okolicach Genewy: Salève (na południowym wschodzie) i Jura (na północnym zachodzie). Masa wody, zawieszonej w danej chwili w powietrzu, wynosi około 8 ton, a kropla wody od opuszczenia dyszy do spadnięcia z powrotem do jeziora potrzebuje 16 sekund. Biały pióropusz powstaje dzięki umieszczonej w wylocie fontanny dyszy, która wypełnia bąbelkami powietrza wyrzucaną przez nią wodę. Wieczorem oświetla ją 12 reflektorów o łącznej mocy 9 kW. Za obsługę i konserwację odpowiadają Services Industriels de Genève (SIG). Fontanna, uznawana obecnie za szwajcarskie dobro kultury o znaczeniu narodowym, jest czynna prawie cały rok, za wyjątkiem jesiennego okresu konserwacyjnego. W sezonie (1 maja – 10 września) w godz. 9.00 – 23.15; od zmierzchu z iluminacją. W 2025 r. obiekt był nieczynny od 29 października do 21 listopada.

Mirosław J. Barański

Odkryj ukryte piękno Wschodniej Türkiye (Turcji) tej zimy

Wyjazdy zimowe zyskują coraz większą popularność wśród podróżujących. Według indeksu podróży zimowych („Winter Travel Index") Tripadvisor, aż 60% turystów planuje urlop w tym sezonie, przy czym liczba rezerwacji wzrosła w skali roku o 45%. Podróżni z całego świata poszukują zarówno tętniących życiem miejskich atrakcji kulturalnych, jak i tropikalnych destynacji z ciepłymi temperaturami. Türkiye (Turcja), oferująca wyjątkowe atrakcje przez cały rok, wyróżnia się jako jedno z najbardziej atrakcyjnych miejsc na zimowe wyjazdy, ale również miejskie wyprawy kulturalne.

Eastern Express

Kars Cheese Museum

Agri Ishak Paşa Palace

Jedną z najbardziej zasługujących na uwagę destynacji jest region Wschodniej Anatolii. To zaproszenie w niezapomnianą podróż przez rozległe krajobrazy, gdzie wielowiekowa historia i wyjątkowe tradycje kulinarne ożywają na nowo. Turyści mogą poczuć tu ducha krainy, która kształtowała się przez tysiąclecia, delektować się zapadającymi w pamięć smakami, podziwiać zapierające dech w piersiach widoki oraz spotkać serdecznych i gościnnych mieszkańców, którzy ucieleśniają bogate dziedzictwo kulturowe regionu.

Podróż do czasów średniowiecza w Kars

Podróż warto rozpocząć w Kars, mało znanym zimowym skarbie Türkiye (Turcji). Położone na słynnej trasie pociągu zwanego Turystycznym Wschodnim Ekspresem miasto zachwyca unikatową architekturą, bogatym dziedzictwem kulturowym i wyjątkowymi widokami – od jeziora Çıldır po miasto Sarıkamış słynące z „kryształowego

Bitlis Ahlat Seljuks Tombs

śniegu". Jednym z tutejszych najbardziej niezwykłych miejsc jest wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO stanowisko archeologiczne Ani, leżące na południe od jeziora Çıldır – największe stanowisko archeologiczne we Wschodniej Anatolii i prawdziwy przykład średniowiecznej urbanistyki. Niegdyś znane jako „Miasto 1001 kościołów" Ani stanowiło centrum kulturalne, polityczne i handlowe na Jedwabnym Szlaku. Dziś jego ruiny w odcieniach czerwieni, otoczone pięknem natury ukazują dziedzictwo chrześcijańskich i muzułmańskich dynastii, które niegdyś przeżywały tu swój rozkwit.

Warto zobaczyć:

Kars jest jednym z najważniejszych regionów Türkiye (Turcji) związanych z produkcją sera. Można tu spróbować serów takich jak kaşar oraz Gruyère, a także odwiedzić Muzeum Sera w Kars. Natomiast na kolację polecane są tradycyjne dania z gęsi oraz hingel – rodzaj mantı, czyli tureckich pierożków o niezapomnianym smaku.

Nemrut Crater Lake

Potęga osmańska w prowincji Ağrı

Kolejnym przystankiem w podróży po Wschodniej Türkiye (Turcji) może być prowincja Ağrı zachwycająca architekturą i cudami przyrody. Zwiedzanie warto zacząć od wspaniałego pałacu İshaka Paszy położonego na płaskowyżu ponad miastem Doğubayazıt. Ta budowla z epoki osmańskiej wzorowana była na pałacu Topkapı w Stambule. Jej wyjątkowość polega na połączeniu stylów seldżuckiego, osmańskiego i perskiego. Kompleks obejmuje meczet, medresę, łaźnię, kuchnię, a nawet lochy. Jedną z najbardziej fascynujących cech pałacu są systemy centralnego ogrzewania, które sprawiały, że gorąca woda podgrzewana w piecach przepływała rurami, ogrzewając budowlę w chłodne, zimowe dni.

Warto zobaczyć:

Pałac znajduje się u podnóża góry Ağrı (Ararat), gdzie według tradycji osiadła Arka Noego. Można tu odbyć krótką wycieczkę, wspinając się na górę, widoczną z niemal każdego zakątka miasta.

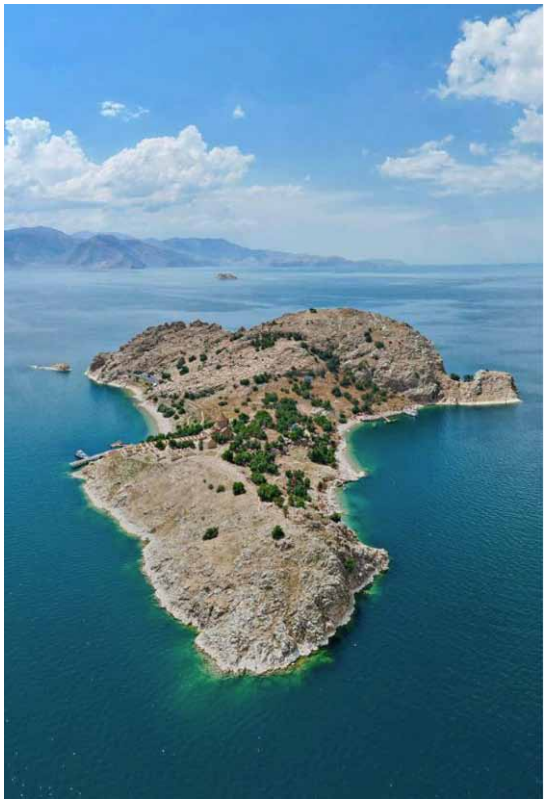

Van-Akdamar Adasi

Wyspa Akdamar i kościół Akdamar – unikatowe skarby jeziora Van

Na niezapomniany finał podróży idealnie sprawdzi się wizyta w Van. Położone nad brzegiem jeziora Van, będącego największym jeziorem w Türkiye (Turcji), miasto ~~to~~ było niegdyś stolicą królestwa Urartu, a później gościło wiele cywilizacji – od Persów po Osmanów. Po tradycyjnym śniadaniu z Van słynącym z licznych specjałów, takich jak otlu peynir (ser ziołowy) i murtuğa (rodzaj chałwy), można ruszyć w rejs po jeziorze Van w kierunku wyspy Akdamar. Jest ona drugą co do wielkości spośród czterech wysp jeziora Van, na której znajduje się niezwykły kościół Akdamar. Usytuowana na skalistych klifach świątynia to średniowieczna katedra apostolska, zbudowana jako kościół pałacowy dla władców Królestwa Waspurakan. Dziś zachwyca misternymi płaskorzeźbami i freskami, w których można odnaleźć inspiracje sztuką turecką z Azji Centralnej.

Warto zobaczyć:

Na miejscu można odwiedzić także Dom Kota z Van i zobaczyć niezwykłe koty słynące ze śnieżnobiałej sierści oraz dwóch różnych kolorów oczu – niebieskiego i bursztynowego.

Biuro prasowe Biura Radcy ds. Kultury i Informacji Ambasady Turcji w Polsce

Cumańska Puszcza

Wylał strumyk Młynek

Przyrodniczy Park Narodowy Cumańska Puszcza został utworzony w 2010 r. na obszarze masywu leśnego o tej nazwie koło wsi Cuman w dorzeczu Styru i Horynia w rejonie łuckim obwodu wołyńskiego. Ma powierzchnię 344,7 km², w tym 34,7 km² gruntów w stałym użytkowaniu. To część Cumańskiej Puszczy, której łączna powierzchnia wynosi prawie 800 km². (*Puszcza* w językach słowiańskich oznacza duży masyw leśny, zachowany w stanie nienaruszonym). Puszcza w swej północnej części leży na Nizinie Poleskiej, zaś w części południowej - na Wyżynie Wołyńskiej. Znajdują się tu wzgórza kredowe, na których uformowały się gleby próchniczo-węglanowe, występują też jeziora krasowe. Najniższy punkt terenu parku (163 m n.p.m.) znajduje się w południowo-wschodniej części puszczy nad rzeką Horyń, a najwyższy (210 m n.p.m.) - w części północnej koło wsi Rudniki. Rzeka Horyń wyżłobiła wąwozy o wysokości brzegów do 20 m w osadach piaszczysto-gliniastych, a głębiej - kredowych.

Styr i Horyń są prawymi dopływami Prypeci (Prypeć płynie przez Białoruś i w okolicy Czarnobyla wpada do Dniepru, a właściwie do Kijowskiego Zbiornika Wodnego). Mniejszymi rzekami puszczy są Putyliwka, Kormin, Konopelka i Stubla. We wschodniej części parku znajduje się wiele bagien, w tym największe Bagno Czortowe z Kanałem Radziwiłłowskim do rzeki Kormin. Przeważają gleby darniowo-bielicowe, występują torfowiska nizinne. Płaskość rzeźby terenu, słaby naturalny drenaż gleb i okresowe podmokłości spowodowały, że prawie nie ma tu gruntów ornych. Dzięki temu zachowała się pierwotna roślinność leśna.

Klimat jest umiarkowanie kontynentalny, z wilgotnymi latami, łagodnymi zimami i stabilną pokrywą śnieżną. Średnia roczna suma opadów wynosi 600 mm, temperatury zaś w lipcu 18°C i w styczniu minus 5°C.

Teren porastają lasy sosnowe i sosnowo-liściaste. Rośnie m.in. unikatowa daglezja (jedlica), zwana dębem iglastym, dorastająca do 100 m wysokości. Odkryto też miejsca, gdzie rośnie rzadka paproć królewska. 20 gatunków roślin trafiło do „czerwonej księgi" Ukrainy.

Typowymi przedstawicielami fauny kręgowców są takie gatunki jak: łoś, ryś, wydra rzeczna, bóbr rzeczny, żółw błotny, z ptaków bocian czarny, żuraw szary, głuszec, cietrzew, jarząbek i sroka. Sprowadzono też żubry. W parku zewidencjonowano 249 gatunków kręgowców, w tym 42 to ssaki, 166 – ptaki, a 23 – ryby. Wiele z nich jest pod ochroną.

W parku są 2 rezerwaty zoologiczne i 1 rezerwat krajoznawczy. Jest 13 pomników (pamiątek) przyrody. Wytyczono 4 trasy i ścieżki ekologiczne. Z odpoczynku w parku korzystają mieszkańcy dwóch pobliskich miast obwodowych: Łuck i Równe.

Janusz Fuksa

45. spacer historyczno-krajoznawczy – do Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego

26 listopada 2025 roku zaprosiłem chętnych na kolejny 45. spacer historyczno-krajoznawczy. Tym razem celem był Kościół Adwentystów Dnia Siódmego mieszczący się przy ul. Panieńskiej 36 w Jeleniej Górze.

Budynek Lutherkirche Hirschberg – Cunneredorf in Risengeb. (1930-35 r.)

Naszym gospodarzem był pastor Andrzej Sieja. Przybliżył nam dzieje zboru w Jeleniej Górze w okresie po II wojnie światowej, wyjaśnił na czym polega posługa boża oraz odpowiedział na powstałe pytania. Oczywiście, oprowadził nas po świątyni, przybliżając jej historię.

Zanim jednak dojdziemy do wiedzy uzyskanej podczas naszej wizyty, podam kilka faktów związanych z adwentystami.

Historycznie wszystko zaczęło się w Ameryce w latach czterdziestych XIX wieku, kiedy to William Miller zainicjował „ruch drugiego adwentu". Wyliczono wówczas, że w 1844 roku na ziemię powróci Jezus Chrystus. Niestety, tak się nie stało. Okres ten nazwano „wielkim rozczarowaniem". Wyznawcy, którzy odeszli od Millera, doszli do wniosku, ze jego obliczenia były błędne. Podana data została uznana jako początek służby Jezusa w niebie dla osób idących w jego ślady. To nowe spojrzenie na wiarę zostało oparte na Piśmie Świętym. Ustalono, że właściwym dniem odpoczynku i kultu religijnego jest sobota będąca siódmym dniem tygodnia. Zaczęli pojawiać się pierwsi przywódcy duchowi cieszący się coraz większym autorytetem. Zaczęto tworzyć struktury organizacyjne Kościoła.

Na pierwszym zjeździe przedstawicieli zborów w 1860 roku przyjęto nazwę „Kościół Adwentystów Dnia Siódmego", określając jednocześnie dwie główne zasady wiary: wiarę w drugi adwent (przyjście na ziemię) Chrystusa i świętość soboty. W 1863 roku w Battle Creek podczas pierwszego Synodu Krajowego Kościoła przyjęto nazwę Generalna Konferencja Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego. Zainicjowano wówczas misje lekarskie mające na celu zwalczanie patologii społecznych (picie alkoholu i palenie papierosów).

Po okrzepnięciu zaczęto organizować struktury kościelne w Europie. W Polsce adwentyści pojawili się w 1888 roku. Obecnie 80% stanu liczebnego kościoła znajduje się poza Ameryką. W Polsce struktury Kościoła tworzą trzy diecezje: wschodnia, zachodnia i południowa.

Jeśli chodzi o Jelenią Górę, (wówczas Hirschberg) pojawia się tu w 1907 roku pastor G. Perk. Skupia wokół siebie 12 wiernych. Prowadząc wykłady biblijne, doprowadza do zwiększenia ich ilości. W 1925 roku podczas drugiego zjazdu okręgowego w nabożeństwie uczestniczy 400 osób.

Po II wojnie światowej wśród przybywających z różnych krajów Europy są adwentyści. Zaczynają pracę misyjną. Udzielają pierwszych chrzcin. W latach siedemdziesiątych XX wieku zbór liczy 150 członków. W kolejnych latach ilość ta waha się, by obecnie oscylować w granicach stu osób.

Pierwszym pastorem w 1946 roku był Jan Lipski (1946-1950), obecnie od roku 2015 pastorem jest Andrzej Sieja.

W latach powojennych nabożeństwa odbywały się w mieszkaniu prywatnym przy ul. Spółdzielczej. W 1959 roku zbór otrzymał od miasta lokal przy Placu Ratuszowym. W końcu w latach 60-tych XX wieku pojawiła się możliwość przejęcia prawdziwej świątyni. Był to obiekt wniesiony w 1929 roku na potrzeby kościoła ewangelickiego. Projektantem tego ciekawego obiektu był R. Iwan. Aby zebrać fundusze na jej budowę, organizowano sprzedaż cegiełek w postaci widokówek przedstawiających kościół. Niestety, nigdy nie dokończono budowli w zaproponowanej formie. Nie starczyło środków na zbudowanie wysokiej wieży. Świątynia posiada piękne witraże, dwie sale modlitewne z baptysterium. W sali głównej ciekawa drewniana ambona z płaskorzeźbą przedstawiającą siejącego zboże.

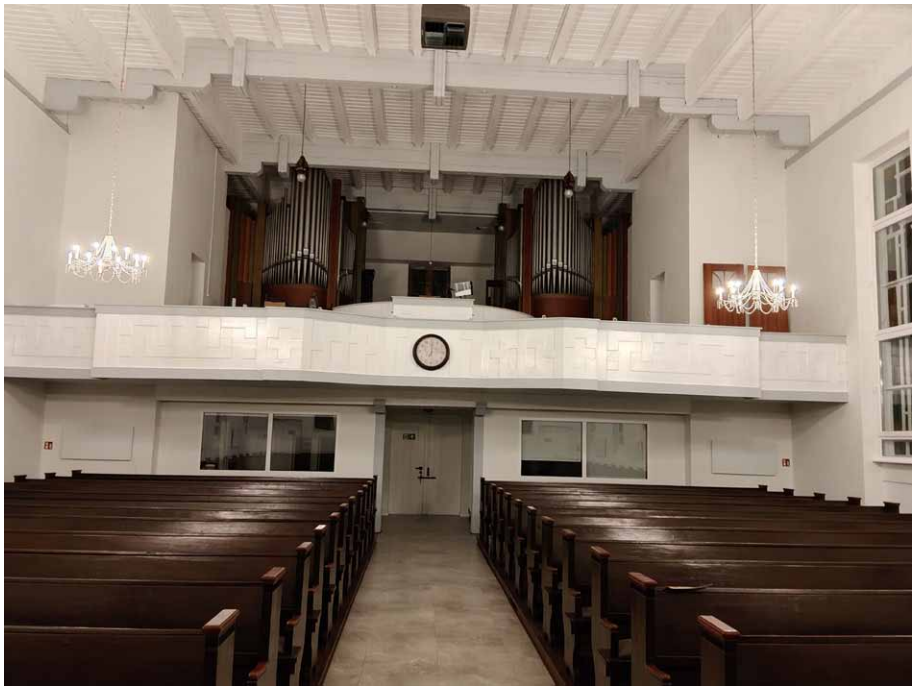

Może tutaj pomieścić się 400 osób. W mniejszej sali ledwie 100. Przy wejściu głównym zgromadzono zdjęcia przedstawiające dawny wygląd świątyni oraz zachowane ozdoby i Biblie. Stojący kiedyś przed wejściem głównym pomnik przedstawiający niemieckiego żołnierza trzymanego przez Jezusa został zniszczony. W sali głównej wydzielono pomieszczenia dla dzieci i matek karmiących. Za kościołem znajduje się ogromna skała, przy której jeszcze niedawno organizowano chrzciny.

Pastor Andrzej Sieja, prezentując nam dokonania wspólnoty, mówił o pracy, jaką wkłada w pomaganie ludziom w uwolnieniu się od nałogów. Bo właśnie w tym względzie adwentyści czynią bardzo wiele. Również dużo dobrego robią dla dzieci i młodzieży oraz osób starszych.

Wydawać by się mogło dziwnym, ale adwentyści nie korzystają z funduszu kościelnego. Potrzebne do utrzymania środki pozyskują z innych źródeł, ze składek wiernych oraz od sponsorów.

Jak widać działalność Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego jest bardzo przejrzysta, nie ma w niej miejsca na kłótnie i niegodziwości. Jest tylko wspieranie potrzebujących i rozważanie zapisów Pisma Świętego. Każdy, kto chciałby doświadczyć tego osobiście, może bez obawy przyjść na spotkanie i przekonać się, jak wspaniałym jest wzajemne wspieranie się wiernych.

Pastor Andrzej Sieja przygotował dla nas niespodziankę. Wręczył każdemu publikację Ellena G. White „Pokój o jakim marzysz”, z której możemy dowiedzieć się wielu ciekawych informacji ważnych dla przeciętnego człowieka oraz „Wielki bój” tego samego autora. Ta druga pozycja sprzedana na całym świecie w milionach egzemplarzy, przetłumaczona na ponad 100 języków to prawdziwa kopalnia wiedzy o religii, o jej historii i ludziach, którzy ją tworzyli.

Ponieważ we wcześniejszej rozmowie z pastorem dostrzegłem jego zainteresowanie wyznawcami innej religii, pozwoliłem sobie ofiarować w prezencie wydaną przez Regionalną Pracownię Krajoznawczą PTTK działającą w Związku Gmin Karkonoskich książkę Fedora Somera w tłumaczeniu Józefa Zapruckiego pt. „Schwenkfeldyści”.

Po zwiedzeniu kościoła poprowadziłem uczestników spaceru ulicą Nadbrzeżną wzdłuż Kamiennej i następnie Powstańców Wielkopolskich, by pokazać piękno przyrody oraz kilka ciekawych miejsc.

Krzysztof Tęcza

47. wycieczka Rajdu na Raty 2025 – w Góry Kaczawskie

W niedzielę 30 listopada 2025 roku Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze zaprosił chętnych na przedostatnią w tym sezonie wycieczkę zorganizowaną w ramach Rajdu na Raty. Tym razem turyści prowadzeni przez piszącego te słowa powędrowali środkową częścią Grzbietu Południowego Gór Kaczawskich. Trasa okazała się niezwykle atrakcyjna. Głównie ze względu na niepowtarzalne widoki. Przewalające się nad Karkonoszami chmury oraz unosząca biała mgła powodująca złudzenie morza z wystającymi z niej poszczególnymi wzniesieniami to widok tak niezwykły i jednocześnie uroczy, że co chwilę trzeba było robić krótkie postoje, by nacieszyć nim oczy oraz wykonać zdjęcia.

Sama wycieczka rozpoczęła się bardzo miło, gdy na jednym z kolejnych przystanków do autobusu wszedł jeden z uczestników o imieniu Andrzej. Wszyscy od razu skojarzyli, że przecież dzisiaj są andrzejki. Zatem w autobusie rozległ się donośny śpiew z życzeniami 100 lat. Chciał czy nie, po dojechaniu na końcowy przystanek w Dziwiszowie, Andrzej musiał podziękować za miłe przyjęcie. Okazało się jednak, że był na to przygotowany. W plecaku miał ukryte torby ze słodyczami.

Po poczęstunku niestraszne było wszystkim podejście widoczne przed nami. Najpierw jednak obejrzeliśmy usytuowany przy drodze krzyż pokutny z widocznym na nim rytem miecza. To pomnik średniowiecznego prawa, kiedy morderca mógł zachować życie w zamian za spełnienie kilku wymogów. Musiał zapłacić za przewód sądowy, zadośćuczynić rodzinie pozbawionej utrzymującej ją osoby, musiał ufundować świece dla kościoła, zrobić coś dobrego dla społeczności i w końcu ustawić w miejscu zbrodni kamienny krzyż pokutny. Oczywiście, nie

musiał go wykonać osobiście. Jeśli go było stać, mógł to zadanie zlecić kamieniarzowi. Tak samo jak obowiązkową pielgrzymkę pokutną do miejsca świętego także mógł zlecić opłaconemu zastępcy.

Po dojściu do biegnącego z Okola szlaku niebieskiego udaliśmy się nim na Widok (576 metrów n.p.m.) i omijając szczyt Źróbek dotarliśmy na Przełęcz pod Kobyłą (590 metrów n.p.m.). Tam czekała nas niespodzianka. Usłyszeliśmy wystrzał. Okazało się, że w okolicy trwa polowanie. Dla bezpieczeństwa skupiliśmy się i pozakładaliśmy kolorowe szale, czapki itp. Mieliśmy nadzieję, że ubrani kolorowo nie zostaniemy pomyleni ze zwierzyną. Jak się okazało po wejściu na dalszą drogę polowanie poszło w innym kierunku. My podeszliśmy zboczem Maślaka i po zejściu ze szlaku w rejonie szczytu Folwarczna (723 metry n.p.m.) dotarliśmy szczęśliwie na Przełęcz Komarnicką będącą najwyższą przełęczą w Górach Kaczawskich usytuowaną u podnóża najwyższych szczytów Barańca (720 metrów n.p.m.) i Skopca (724 metry n.p.m.).

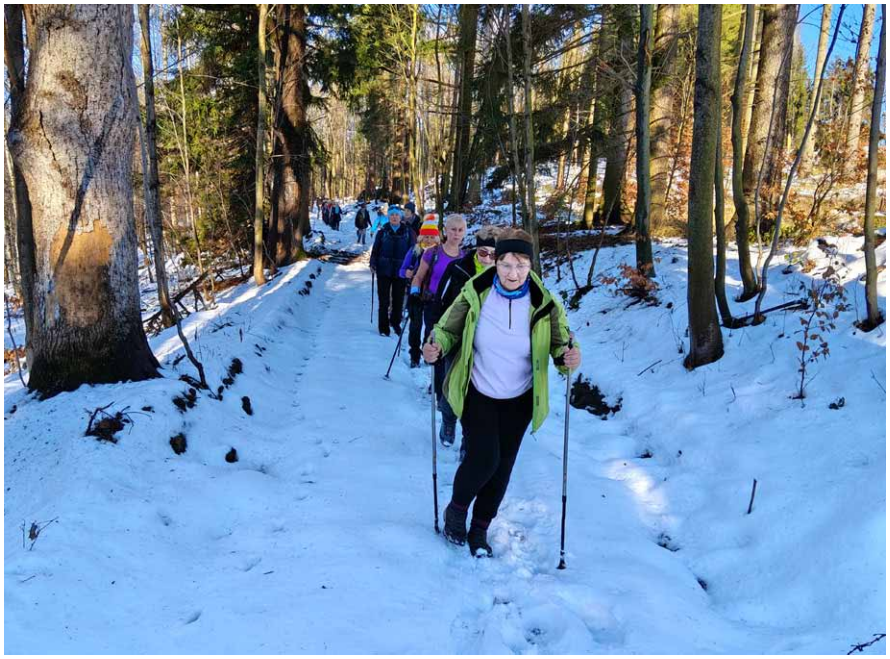

Miejsce to od pewnego czasu jest bardzo popularne. Przede wszystkim ze znajdującego się tu pomnika „Buty Turystów". Ale nie tylko. Bo właśnie naszym głównym celem podczas wycieczki był szałas myśliwski. Obiekt ten będący własnością Koła Łowieckiego „Darz Bór" Jelenia Góra stwarza dogodne warunki do wypoczynku. Można schronić się w nim w razie niepogody. Głównym jednak wabikiem dla turystów jest urządzony grill i miejsce na ognisko. Oczywiście, skorzystaliśmy z tego, by odpocząć i zjeść coś ciepłego.

W tym miejscu pragnę podziękować właścicielom szałasu za wyrażenie zgody na naszą wizytę.

Po tak mile spędzonym czasie pozostało nam już tylko ruszyć w dół do miejscowości Komarno. To tutaj znajdują się dwa ciekawe kościoły. Pierwszy gotycki św. Jana Chrzciciela, drugi barokowo-klasycystyczny. Mało tego, to właśnie przy nich znajdują się kolejne krzyże pokutne.

Wycieczkę zakończyliśmy, wsiadając do autobusu MZK linii nr 2, którym dojechaliśmy do Jeleniej Góry. Jak się okazało, do domów dotarliśmy jeszcze w porze obiadowej. Pytanie tylko czy komuś po odpoczynku przy ognisku chciało się jeszcze coś jeść?

Krzysztof Tęcza

Sympozjum Górskie i spotkanie przedstawicieli klubów 2025

Górska centrala na Jagiellońskiej w Krakowie jak co roku gościła miłośników gór, aktywistów turystyki górskiej, przedstawicieli klubów górskich PTTK na Sympozjum Górskim i na spotkaniu przedstawicieli klubów. Tematem sympozjum była 90. rocznica Górskiej Odznaki Turystycznej. I tak Jerzy Kapłon i Wiesław Wójcik przedstawili historię odznaki w Polskim Towarzystwie Tatrzańskim, Grzegorz Guzik dzieje GOT w ciągu 90 lat od powołania i genezę odznaki 90-lecia, zaś Marek Staffa i Jerzy W. Gajewski dzielili się impresjami o Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK na przestrzeni jej działalności. Wiele miejsca poświęcono niedawnemu Zlotowi Przodowników GOT w Ustrzykach Górnych i na bieszczadzkich szlakach.

Po tradycyjnej przerwie kawowej w sali konferencyjnej COTG zostali przedstawiciele klubów górskich PTTK. Ich liczba oscyluje w okolicy 70. Ponownie poruszono ważny temat czy to na szlakach, czy w życiu codziennym, czyli szkolenia w zakresie udzielania pierwszej pomocy przed medycznej. Jak się okazuje, kluby są zainteresowane takim szkoleniem we własnym zakresie i udziałem kompetentnych instruktorów. Ważną informacją jest ta, że kolejny Zlot Klubów Górskich odbędzie się w Zawoi w dniach 7 – 10 maja w Ośrodku Wczasowym „Jędruś”. Organizator to KG „Diablak” z Krakowa. Zaproszenie wystosowała prezes Weronika Jończyk. Szczegóły organizacyjne będą ogłaszane na stronie KTG i Podkomisji Klubów. Przewodniczący podkomisji apeluje do klubów o aktualizację danych kontaktowych, można je zgłaszać na adres: jacek.nowicki@ktg.pttk.pl Swoją drogą warto odwiedzać internetowa stronę KTG, by zapoznać się za zmianami w regulaminie GOT i po inne informacje.

Inauguracja sympozjum

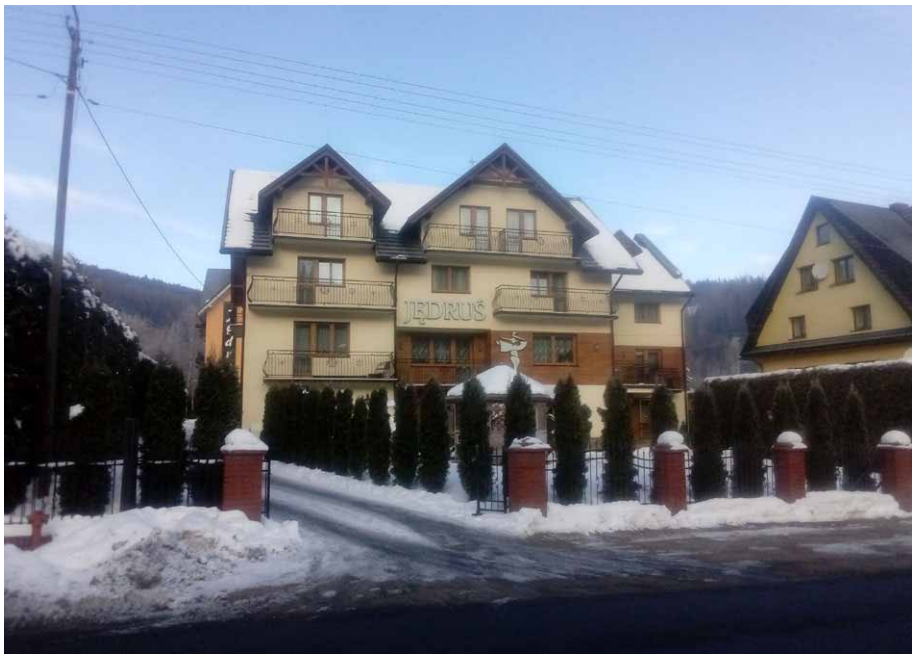

Ośrodek „Jędruś” w Zawoi

Odznaka 90 lat GOT PTT – PTTK

Juliusz Wysłouch

Podsumowanie 55. edycji Rajdu na Raty

W niedzielę 7 grudnia 2025 roku turyści wędrujący w ramach organizowanego przez Oddział PTTK „Sudety Zachodnie" w Jeleniej Górze *Rajdu na Raty* spotkali się w siedzibie Związku Gmin Karkonoskich w pałacu w Bukowcu. Na ostatnią w tym sezonie wycieczkę poprowadził chętnych komandor rajdu Wiktor Gumprecht.

Tym razem trasa nie była zbyt wymagająca, choć nie można powiedzieć, że była łatwa. Zimowa aura zrobiła swoje i zalegające na duktach śnieg, lód i błoto wymagały od wędrowców nieco uwagi. Początek trasy został wyznaczony w Miłkowie, gdzie znajduje się gotycki kościół św. Jadwigi z cennym wyposażeniem. To właśnie przy nim zachowały się płyty nagrobne ostatnich laborantów. Także tutaj znajdują się trzy krzyże pokutne będące świadectwem średniowiecznego prawa karnego.

W Mysłakowicach turyści podziwiali dzieło wybitnego architekta Karla Schinkla – pałac będący letnią rezydencją królów pruskich. Nie mniej ciekawym obiektem jest kościół pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa z portykiem wspartym na dwóch autentycznych kolumnach z Pompei.

Dalsza droga wcale nie była mniej obfita w ciekawe budowle. Turyści odwiedzili *Opactwo* znajdujące się w parku w Bukowcu, *Herbaciarnię*, by w końcu dotrzeć do pałacu, którego właścicielami byli hrabiostwo Fryderyk i Fryderyka Redenowie.

To właśnie tutaj przywitał nas dyrektor biura Związku Gmin Karkonoskich pan Łukasz Hada, który w imieniu związku zaprosił nas, byśmy podsumowanie sezonu zorganizowali w tym pięknym pałacu, który właśnie przeszedł gruntowną modernizację, podczas której zostały odkryte piękne freski.

W zakończeniu 55. edycji *Rajdu na Raty* imienia Teofila Ligenzy vel Ozimka (twórcy imprezy) uczestniczyło ponad 80 osób. Zwyczajowo podczas spotkania były wspominki, prelekcje z poprzednich tras oraz konkursy krajoznawcze. Dodam, że tym razem największą wiedzą w trakcie konkursu wykazali się: Paweł Wojtczak, Danuta Skierś, Radosław Paź, Maciej Cieślak i Marta Kaczmarek. Otrzymali oni nagrody w postaci ciekawych wydawnictw krajoznawczych. Kolejne nagrody otrzymały osoby, które uczestniczyły w największej liczbie wycieczek. Rekordzistami okazali się Joanna Myszka i Andrzej Makowski, którzy wzięli udział aż w 42 wycieczkach. Marta Kaczmarek uczestniczyła w 34 wycieczkach, Zbigniew Kaczmarek w 32, Zbigniew Dul w 29, Małgorzata Gasiulewicz i Małgorzata Zielonka w 28, Danuta Kwiecień i Janusz Wrzosowski w 26, a Elżbieta Cekiera i Teresa Cieślak w 24.

Dodam tylko, że w okresie od 23 lutego do 7 grudnia 2025 roku odbyło się 48 wycieczek pieszych. Każda z tras liczyła od 12 do 22

kilometrów. Turyści oprócz Dolnego Śląska odwiedzili przygraniczne rejony Czech. Odbyła się także jedna wycieczka dwudniowa z noclegiem w schronisku „Orzeł” w Górach Sowich.

Ogółem we wszystkich wycieczkach uczestniczyło 1483 turystów, co daje średnią ponad 30 osób na jedną wycieczkę. Najwięcej turystów uczestniczyło w wycieczce inauguracyjnej (73) i zakończeniowej (65). Nie mniej liczna była wycieczka patriotyczna (53) czy wycieczka połączona ze zwiedzaniem pałacu w Bukowcu (52).

Uzupełnieniem wycieczek pieszych były sześciodniowe wycieczki autokarowe w Tatry, do Trójmiasta i na Podlasie. Odbyła się także wycieczka czterodniowa do Łodzi i jednodniowa do miejscowości Kuks w Czechach.

Rajd na Raty w swoim założeniu jest imprezą pozwalającą spotykać się chętnym podczas pieszych wycieczek, dając im możliwość utrzymania na odpowiednim poziomie kondycji fizycznej, ale także poznawania okolicy i historii ciekawych miejsc oraz obiektów. Jest tu także miejsce na integrację i nawiązywanie znajomości. W poszczególnych wycieczkach mogą brać udział wszyscy interesujący się tego typu wypoczynkiem. Nie ma tutaj żadnych opłat poza przejazdami, które opłaca każdy za siebie. Trasy są przygotowane przez profesjonalistów i prowadzone przez kadrę PTTK posiadającą stosowne uprawnienia. Dlatego uczestnicy wycieczek mogą czuć się bezpieczni, a w razie jakiejś niedyspozycji pewni, że nie zostaną pozostawieni sami sobie.

Historycznie pierwsze wycieczki *Rajdu na Raty* poprowadził jego pomysłodawca wspomniany już Teofil Ligenza vel Ozimek. Dodam tutaj, że nie zapominamy o twórcy *Rajdu na Raty* i zawsze podczas jednej w wiosennych wycieczek wspominamy go przy jego grobie na cmentarzu komunalnym w Jeleniej Górze, gdzie spoczywa.

W roku obecnym wycieczki prowadzili: Elżbieta Marut (14), Sebastian Miler (11), Jarosław Kapczyński (7), Krzysztof Tęcza (4), Elżbieta Marcinkiewicz (3), Krzysztof Zając (3), Wiktor Gumprecht (2), Urszula Pawlikowska (2), Jolanta Kupeć (1) i Anna Lewandowska (1).

Organizatorem *Rajdu na Raty* jest Oddział „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze. Obecnie, po śmierci Teofila Ligenzy, komandorem (od 2002 roku) jest Wiktor Gumprecht, wicekomandorem Jarosław Kapczyński, a sekretarzem Maria Gumprecht.

Ponieważ impreza prowadzona jest na zasadach wolontariatu, nie mogłaby się odbyć bez wsparcia finansowego od sponsorów. Tradycyjnie takiego wsparcia udziela nam Miasto Jelenia Góra, Urząd Marszałkowski Województwa Dolnośląskiego oraz Starostwo Karkonoskie. Przy organizacji imprezy wspiera nas także redakcja „Nowin Jeleniogórskich”.

Wszystkim instytucjom i osobom wspierającym organizację *Rajdu na Raty* serdecznie dziękuję. Dziękuję Związkowi Gmin Karkonoskich za udostępnienie swojej siedziby na spotkanie podsumowujące sezon turystyczny 2025. Dziękuję dyrektorowi biura ZGK panu Łukaszowi Hadzie za ciepłe przyjęcie, dziękuję pracownikom ZGK za przygotowanie sali.

Dziękuję także organizatorom *Rajdu na Raty*: Wiktorowi i Marii Gumprecht, Jarosławowi Kapczyńskiemu oraz wszystkim prowadzącym poszczególne trasy. Dziękuję pracownikom biura Oddziału PTTK, którzy przez cały rok czuwali nad sprawami organizacyjnymi.

Na koniec dziękuje uczestnikom *Rajdu na Raty*, którzy swoją obecnością na wycieczkach wnoszą wiele ciepła, okazują radość i dają do zrozumienia, jak ważne są nasze spotkania w ich życiu.

W imieniu organizatorów zapraszam na kolejne wycieczki 56. edycji *Rajdu na Raty*. Pierwsza wycieczka w 2026 roku odbędzie się w ostatnią niedzielę lutego.

Krzysztof Tęcza

Tydzień z muzeum – dzień piąty

Z okazji 30-rocznicy działalności Muzeum Carla i Gerharta Hauptmannów w Szklarskiej Porębie zorganizowano pięć tematycznych wycieczek związanych z profilem zbiorów muzealnych. Wszystkie wycieczki poprowadził ich pomysłodawca Krzysztof Tęcza.

Ostatnią z zaplanowanych wycieczek poświęciłem pamięci ludzi tu żyjących dawniej i teraz. Głównym miejscem, jakie odwiedziliśmy, był cmentarz Czcicieli Słońca założony przed 1930 rokiem. Niestety, do dzisiaj zachowały się tu tylko dwa w miarę czytelne groby, które można zidentyfikować z imienia i nazwiska pochowanych w nich osób. Jeszcze w latach 60-tych XX wieku na terenie cmentarza znajdowało się kolumbarium z urnami spopielonych osób. Dzisiaj w zasadzie gdyby nie niemal trzymetrowej wysokości obelisk nikt by pewnie nie skojarzył tego miejsca jako ostatecznego miejsca spoczynku mieszkańców Szklarskiej Poręby.

Od razu wyjaśniam, że Czciciele Słońca byli normalnymi ludźmi, pragnęli oni tylko, by po śmierci ich ciała nie były drążone przez robactwo. Dlatego prosili o spopielenie zwłok i pochowanie ich prochów w metalowych urnach.

Dzięki pracy dra Przemysława Wiatera mogę zacytować dokonane przez niego tłumaczenie inskrypcji z obelisku. Brzmi ona następująco:

„Niech moje ciało nie będzie pokarmem dla obrzydliwego robactwa. Tylko czysty płomień może je zaszczycić. Ciągle kocham to ciepło i to światło, dlatego spalcie mnie, a nie pogrzebcie."

Kolejnym miejscem, do którego dotarliśmy, był Skwer im. dra Przemysława Wiatera uroczyście otworzony w 2024 roku przez burmistrza Szklarskiej Poręby pana Pawła Popłońskiego, przewodniczącego Rady Miasta pana Michała Pyrka oraz członków Sudeckiego Bractwa Walońskiego i córkę Przemysława Wiatera panią Marcelinę Staniszewską-Wiater.

Teraz nie pozostało mi już nic innego, jak doprowadzić grupę do najstarszej świątyni w Szklarskiej Porębie. Jest to kościół pw. Matki Bożej Różańcowej, w obecnej formie wzniesiony w 1650 roku, niemal 200 lat po zbudowaniu tu drewnianej kaplicy pielgrzymkowej. To tutaj pierwotnie znajdowały się obrazy Wlastimila Hofmana: Ecce Homo, Ecce Ancilla Domini oraz cykl przedstawiający 15 tajemnic różańca. Po zamknięciu kościoła ze względu na jego zły

stan techniczny obrazy zostały przeniesione do znajdującego się nieopodal kościoła pw. Niepokalanego Serca NMP.

Obecnie kościół ożywa za sprawą pasjonatów starających się przywrócić go społeczności. Organizowane są tutaj koncerty zaprzyjaźnionych zespołów muzycznych, na które często przychodzi tak wielu chętnych, że nie mieszczą się wewnątrz świątyni.

My mieliśmy okazję zapoznać się z wystawą Grzegorza Niemyjskiego, dziekana Wydziału Rzeźby i Mediacji Sztuki Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu. Wśród zaprezentowanych rzeźb wyróżnia się „Odwrócony Stół" będący symbolicznym przedstawieniem Paschy. W judaizmie jest on pamiątką wyjścia z Egiptu, wyzwolenia i nadziei na przyszłość. Wywrócony stół symbolicznie pokazuje kryzys wiary, a podtrzymujące go korzenie symbolizują siłę potrzebną do odrodzenia. Czerwony kolor korzeni nawiązuje do gorejącego krzewu będącego symbolem spotkania Boga z człowiekiem.

Naszą wycieczkę zakończyliśmy na przykościelnym cmentarzu przy grobie dra Przemysława Wiatera, człowieka niezwykle zasłużonego dla regionu. Dzięki jego tytanicznej pracy i pozostawieniu po sobie olbrzymiego dorobku naukowego nasza wiedza o dziejach Szklarskiej Poręby jest bardzo bogata. Przemysław Wiater był kustoszem w Muzeum Carla i Gerharta Hauptmannów w Szklarskiej Porębie, a pod koniec życia dyrektorem Muzeum Karkonoskiego w Jeleniej Górze. Był także członkiem Sudeckiego Bractwa Walońskiego, gdzie pełnił funkcję kanclerza.

Kończąc prowadzenie wycieczek po Szklarskiej Porębie zorganizowanych z okazji 30-lat działalności Muzeum Carla i Gerharta Hauptmannów, pragnę przekazać podziękowania uczestnikom wszystkich wycieczek za ich zainteresowanie historią miasta, za ich wytrwałość, za wszystkie pytania i zapraszam do odwiedzania Szklarskiej Poręby w przyszłości.

Osobno kieruję podziękowania dla Moniki i Roberta Koteckich, członków Towarzystwa Przyjaciół Szklarskiej Poręby, którzy działają na rzecz przywrócenia kościoła Matki Bożej Różańcowej do życia. To dzięki poświęceniu przez nich swojego czasu mogliśmy obejrzeć świątynię oraz dowiedzieć się o historii obiektu i prezentowanej tam wystawie.

Krzysztof Tęcza

Wiadomości o Dolnym Śląsku z 1947 r. (55)

(Z dzieła Józefa Sykulskiego „366 wiadomości o Dolnym Śląsku – kalendarz i notatnik na rok 1948”)

Pod datą 4 stycznia:

Książęta śląscy przeciw sobie

W dniu 4 stycznia 1337 r. książę żagański Jan wystawił we Wrocławiu królowi czeskiemu Janowi Luksemburskiemu cztery dokumenty, którymi zrzekał się posiadania reszty Łużyc z miastami Lubań i Przewóz, w zamian za odstąpienie mu w dożywocie przez króla czeskiego Głogowa, i zobowiązał się wspomagać go w walce, tak w Czechach, jak i w Polsce. W ten sposób książę Jan Żagański zgodził się iść na pomoc królowi czeskiemu nawet w wypadku walki Czechów z własnymi bratankami świdnickimi księcia.

Miasto Przewóz, które w wymienionym roku przeszło czasowo w posiadanie Czech, leży nad Nysą Łużycką, w powiecie żarskim. Osobliwością tego miasta jest teatr na wolnym powietrzu. Teatr ten może pomieścić 4.000 widzów. Scena znajduje się obok „wieży głodowej”, której nazwa pochodzi z 1472 r.; w tym roku umarł w niej książę żagański Baltazar, głodzony przez swego brata Jana, księcia żagańsko-głogowskiego. Jan był księciem na Przewozie, potem na Żaganiu, który sprzedał książętom saskim, a gdy doszedł do posiadania księstwa głogowskiego, sprzedał leżące w nim miasta Krosno, Sulechów i Lubsko Hohenzollernom brandenburskim.

Pod datą 18 stycznia:

Klementyna Sobieska z Oławy

W latach 1691-1734 Oława należała do Jakuba Sobieskiego, syna Jana III. Córka Jakuba, Klementyna, była narzeczoną pretendenta do tronu angielskiego Jakuba Stuarta, który nie mógł zostać królem, gdyż nie chciał przyjąć wyznania anglikańskiego. Ponieważ cesarz austriacki nie chciał, ze względów politycznych, pozwolić na przyjazd Stuarta do Oławy, matka Klementyny postanowiła pojechać z nią do Rzymu, gdzie przebywał Stuart. Wyjazd ten odbył się incognito, ale mimo to szpiedzy cesarza zatrzymali Sobieskie w Insbruku. Wtedy Stuart zdecydował się na „porwanie” Klementyny, z... jej wiedzą.

„Porwanie” udało się i Klementyna została wreszcie żoną króla angielskiego in spe. Nie została jednak królową angielską i umarła jako Sobieska Stuart dnia 18 stycznia 1735 roku. Na wieść o jej śmierci przerwano w Rzymie pochody karnawałowe i odwołano zabawy oraz widowiska... (Jakub Sobieski przechowywał przez pewien czas w Oławie wóz tryumfalny swego ojca, któremu ofiarowali go mieszkańcy Wiednia w 1683 r. Szczątki tego wozu znajdują się w muzeum miejskim w Szczecinie).

Pod datą 23 stycznia:

Rozwój Jeleniej Góry

23 stycznia 1742 r. Jelenia Góra była zabudowana 823 domami, w których mieszkało 5.819 mieszkańców. W grudniu 1875 r. Jelenia Góra liczyła 13.109 mieszkańców i 988 domów.

Obecnie obszar miasta wynosi 2.808 ha, z czego na rolę przypada 550 ha, na łąki i pastwiska 334 ha, na lasy 607 ha, na wody 38 ha oraz na drogi, ulice, zabudowania, place sportowe, parki, ogrody, cmentarze itd. – 1.269 ha. Nieruchomości miasto posiada ogółem 3.346, z czego na domy mieszkalne przypada 2.741, reszta zaś to budynki fabryczne, lokale urzędowe, szkoły, składy, magazyny itd. Budynków przeznaczonych na szkoły jest w mieście 12. Stan ludności na dzień 17 lipca 1947 r. wynosił 31.138 osób, stale przebywających w mieście, zupełnie niezniszczonym przez ostatnią wojnę, dzięki czemu jest ono ważnym ośrodkiem Dolnego Śląska.

Józef Sykulski
Wybrał: Janusz Fuksa

Zawstydzony Mikołaj Zyblikiewicz

Moja imaginacja, wydawało mi się, że widzę spacerującego po Parku Dolnym w Szczawnicy Mikołaja Zyblikiewicza wspartego o laseczkę, w podłatanym surducie, naderwanej kamizelce i kołnierzyku. Do przechodzących i kłaniających się mu z atencją kuracjuszy ustawiał się tak, aby jak najmniej było widać defektów w ubiorze. Marszałek Sejmu Krajowego Galicji, prezydent miasta Krakowa, wielce zasłużony na rzecz rozwoju Szczawnicy skonfundowany stał i płonął ze wstydu.

To wyłącznie moja wyobraźnia, w rzeczywistości w tym miejscu na Miedziusiu znajduje się sztuczna, kamienna grota, której fundatorem za przeszło tysiąc zlr był w 1890 roku Klub Szczawnicki. W jej środku znajduje się pamiątkowa tablica i medalion z profilem Mikołaja Zyblikiewicza wykonany w brązie przez znakomitego mistrza, cyzelatora Józefa Nałęcz-Hakowskiego. Stan tego medalionu ubliża godności postaci, dzięki której m.in. została dokończona Droga Pienińska poprowadzona wzdłuż przełomu Dunajca ze Szczawnicy do Czerwonego Klasztoru. Medalion wygląda tak, jak w mojej wyobraźni Zyblikiewicz, w podłatanym, wizytowym, dwurzędowym surducie, z naderwaną kamizelką i kołnierzykiem od koszuli.

Tablica sławiąca jego osobę jest o treści: *Marszałkowi/ Mikołajowi/ dr Zyblikiewiczowi/ goście szczawniccy Polacy i Rusini/ 1887 r 1889 r/ Dzielnemu czynem, myśli podniosłej,/ woli mocnej, serca wielkiego Mężowi;/ co zasługą do najwyższego w kraju/ wzniósł się dostojeństwa – Szczawnicy/ perłę dał On wspaniałą, drogę w Pieniny/ z Dunajcem u stóp w skałach wykutą/ MDCCCXC*

Mikołaj Zyblikiewicz. Fot. Walery Rzewuski

W tej sytuacji warta jest przypomnienia postać, której pomnik stoi w odnowionym Parku Dolnym, a Szczawnica się tak nim szczyci.

Mała grota na Drodze Pienińskiej z ławeczką (stara pocztówka) kopia

Mikołaj Zyblikiewicz urodził się 28 listopada 1823 r. w Starym Mieście koło Sambora w rodzinie kuśnierza. Ochrzczony został w cerkwi greckokatolickiej, obrządkowi temu pozostał wierny do końca życia, o sobie mawiał: *gente Ruthenus, natione Polonus* – z rodu Rusin, z narodowości Polak. Studiował na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu we Lwowie, po przeniesieniu się do Krakowa naukę kontynuował na Uniwersytecie Jagiellońskim, w 1851 r. uzyskał stopień doktora prawa. W 1862 r. wybrany został do Rady Państwa w Wiedniu, w 1871 r. został prezesem Koła Polskiego

w parlamencie wiedeńskim, rok później członkiem Akademii Umiejętności, był zwolennikiem autonomii Galicji w ramach cesarstwa austro-węgierskiego. Związany był ze stronnictwem stańczyków. W latach 1874-1881 był prezydentem Krakowa, w styczniu 1881 r. powołany został na stanowisko marszałka sejmu krajowego. 1 lutego tegoż roku zyskał jednogłośnie tytu rada miasta Krakowa nadała mu jednogłośnie godność Obywatela Honorowego.

Nigdy nie założył rodziny, co nie znaczy, że nie był kochliwy, tkwił pod urokiem pięknej, młodej Matyldy Natanson z Warszawy, z którą pokazywał się także w Szczawnicy, lecz żenić się nie miał ochoty. Majątku także nie zrobił, pomagał rodzinie.

Mała grota Zyblikiewicza obecnie

Mała grota Zyblikiewicza widok z drugiego brzegu

Nie miał korzeni szlacheckich, gdy zlecił namalowanie portretu Janowi Matejce, którego dobrze znał z czasów prezydentury w Krakowie, ten narzekał na jego zwyczajną, pospolitą powierzchowność. Martwił się, że Zyblikiewicz może nie być zadowolony z uwiecznionej twarzy, pozbawionej dostojeństwa. Obraz znajduje się w zbiorach Galerii Sztuki Polskiej XIX wieku w Sukiennicach.

Mieszkał w krakowskim domu księży pijarów, tam zmarł na zapalenie płuc 16 maja 1887 r., uroczysty pogrzeb odbył się na Cmentarzu Rakowickim 23 maja.

W Szczawnicy oprócz pamiątkowej tablicy w Parku Dolnym, na jego ulubionej Drodze Pienińskiej, znajduje się mała grota wykuta przez akademików z Krakowa, na starych fotografiach z wstawioną ławeczką. W miejscu tym - u wylotu przełomu Dunajca - siadywał i kontemplował wspaniały widok na Hukową Skałę, Sokolicę, rzekę z bystrym zakolem. Wcześniej znajduje się duża grota zwana Piecem Majki, przemianowana ówcześnie była na Grotę Zyblikiewicza.

Obecny stan medalionu w Parku Dolnym niezbyt dobrze świadczy o zdroju, ale jak widać, nie o wszystkim się pamięta, tym bardziej o tablicy z 1890 roku.

Ryszard M. Remiszewski

Pamiątkowa tablica w Parku Dolnym

Wywiad z Waldemarem Ochodkiem – szefem Bacówki PTTK w Jaworcu

Okazją do wywiadu z gazdą Bacówki PTTK Jaworzec Waldemarem Ochodkiem jest przypadająca na początku roku 2026 roku okrągła rocznica 50-lecia istnienia bacówki.

Na początek może słów kilka skąd Pan pochodzi? Z jakiego rejonu Polski?

Dzień dobry. Nazywam się Waldemar Ochodek, pochodzę z południa Polski, ze Śląska, choć obecnie Bieszczady dzielę z Krakowem.

Kiedy trafił Pan po raz pierwszy w Bieszczady? I kiedy po raz pierwszy zjawił się w bacówce Jaworzec?

W Bieszczady zawitałem pierwszy raz w 1994 roku. Można powiedzieć, że przyszedłem w Bieszczady pokonując Główny Szlak Beskidzki z Ustronia. Wtedy też poznałem pierwszy raz Jaworzec fizycznie, tak tylko o tym miejscu słyszałem i czytałem.

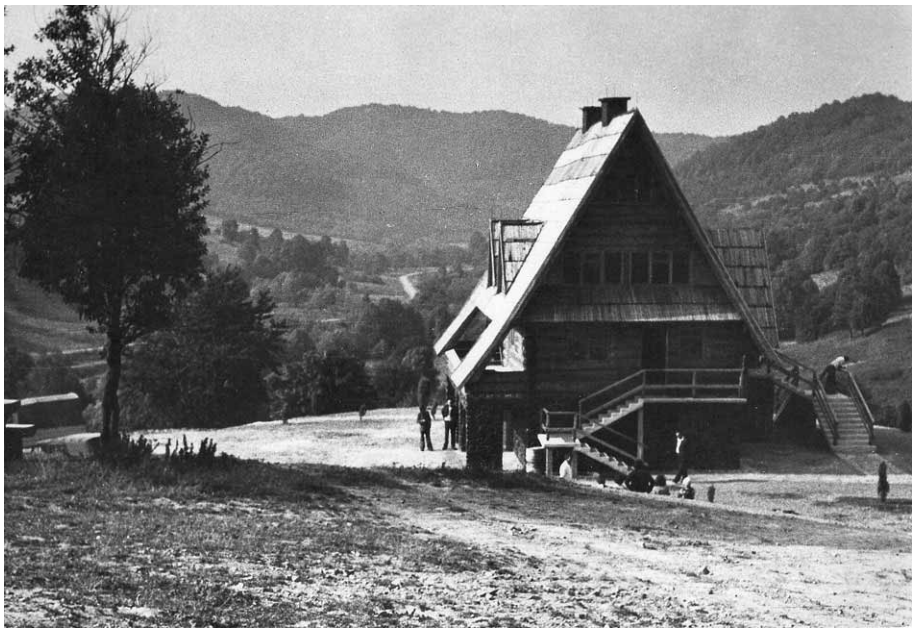

Bacowka PTTK Jaworzec w 1978 roku

W jakich okolicznościach stał się Pan gazdą Jaworca? I kiedy to nastąpiło?

Można by o tym dużo i długo mówić. Idąc jednak na skróty, to przez znajomość z gospodarzem bacówki pod Honem oraz Jaworca w latach 20212-2016 Pawłem Puzyrewskim. Oficjalnie obiekt przejąłem 26 października 2016 roku. Patrząc z perspektywy czasu, nie wiem, w co się uderzyłem, dlatego że nigdy nie planowałem zostać bieszczadnikiem.

Pamięta Pan ile lat miał najstarszy turysta, jaki pojawił się w bacówce?

Najstarszy turysta, którego pamiętam przez te ostatnie 9 lat, którego spotkałem w bacówce i nocował w naszym schronisku to – 86 lat. Natomiast 92 lata miała turystka, która nas odwiedziła.

A może pamięta Pan też najmłodszego turystę, jaki zjawił się w progach bacówki?

Najmłodszy turysta, który spał w bacówce, miał 4 miesiące. Rodzice wrócili do nas po urodzeniu swojej pociechy. Podobno tu się począł podczas podróży poślubnej.

Piękna historia. A czy bacówka ma jakiegoś stałego klienta, turystę, który bywa regularnie w Pana gościnnych progach?

Przez te lata gazdowania zbudowałem społeczność, która liczy setki turystów, którzy odwiedzają nas minimum raz w roku. Turyści wracają do tego kultowego miejsca. Większość znam z imienia. Przecież to zapomniana bacówka o niezapomnianym klimacie.

Po latach przerwy wśród turystów coraz bardziej popularne staje się przemierzanie szlaków długodystansowych. Bacówka Jaworzec znajduje się w niewielkiej (ok.4 km) odległości od Głównego Szlaku Beskidzkiego. Czy pojawiają się więc indywidualni turyści plecakowi - dla których to Edward Moskała wymyślił bacówki – małe schroniska turystyki kwalifikowanej?

Odkąd prowadzę bacówkę, promuję turystykę kwalifikowaną. Z roku na rok przybywa turystów wędrujących od schroniska do schroniska i to niekoniecznie w trakcie realizacji Głównego Szlaku Beskidzkiego.

Ponadto od roku jest to nasz drugi produkt turystyczny skierowany do turysty przyjeżdżającego w Bieszczady. Od 4 kwietnia zarządzam razem ze wspólnikami pozostałymi dwoma bacówkami: Bacówką PTTK pod Małą Rawką oraz Bacówką PTTK pod Honem. Wszystkie te bacówki powstały wg idei Edwarda Moskały w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w Bieszczadach. Rozmieszczenie tych bacówek stanowi swoistą oś dla turystki kwalifikowanej w Bieszczadach. Oferujemy dodatkowe ułatwienia jak sieciowanie usługi, transport bagaży między schroniskami i tym samym wędrowanie na lekko między bacówkami. Bezpłatne parkingi, usługi przewodnickie czy całe obozy wędrowne z przewodnikiem. Wszystko pod hasłem: Jeden adres! Trzy lokalizacje w Bieszczadach.

Jakie inwestycje poczyniliście ostatnio w bacówce?

W tym miejscu można by napisać książkę. Przejmując bacówkę w 2016 roku, byłem jej 13 gospodarzem. Żadna z istniejących bacówek nie miała tylu gospodarzy. Zastałem obiekt bez ½ dachu, z częściowym brakiem okien, setką ton śmieci, brakiem kanalizacji itp. Rozpocząłem remont, rewitalizację, a można nawet powiedzieć ratowanie obiektu. Razem z PTTK rozpoczęliśmy działania, które przywróciły świetność tego obiektu. Mamy częściowo wymieniony dach, wymienioną stolarkę okienną, została przeprowadzona cała termomodernizacja obiektu. Wszystkie pokoje wraz z jadalnią zostały wyremontowane. Mamy nowe zaplecze gastronomiczne oraz sanitariaty. Obecnie kończymy ostatnią łazienkę. W przyszłym roku oddamy tę przestrzeń do użytku. Niewiele zostało już do zrobienia. Cały remont pochłonął ponad 2 mln zł sfinansowane przez nas i PTTK.

Zatem wykonaliście ogrom pracy! A czy bacówka Jaworzec wciąż nie ma prądu? Opieracie się na agregacie? Czy pozyskujecie prąd z paneli fotowoltaicznych?

Tak i nie. Bacówka nie jest podłączona do infrastruktury stałej energii elektrycznej. Jednak posiada panele fotowoltaiczne, które w przyszłym roku zostaną rozbudowane i będzie wymiana banków energii. Posiada też agregaty prądotwórcze. Minął już czas, gdzie czołówki były stałym wyposażeniem turysty. Dziś cały dzień mamy prąd. Oczywiście, przy tym rozwiązaniu mamy kilka ograniczeń, których jednak nie zauważa turysta, może czasem słyszy generator, którego dźwięk niesie się po dolinie. Obiekt posiada też stałe łącze internetowe- satelitarne działające minimum 12 h dziennie.

Czy kuchnia bacówki ma jakąś specjalność, potrawę z której słynie?

Z racji kilku ograniczeń, jak: brak stałego prądu, mała przestrzeń, kuchnia oferuje kilka dań opartych na sprawdzonych półproduktach kupowanych od małych rzemieślników lub robionych w bacówce. Mamy proste menu, w którym furorę robią nasze śniadania oraz „fuczki" czy naleśniki z musem jabłkowym. Większość turystów przychodzi na nasze „fuczki" z sosem śmietanowo-czosnkowym lub gulaszem.

Wręcz nie wyobrażają sobie pobytu w Bieszczadach bez uraczenia się tym daniem. Bacówka posiada też własne piwo Jaworcowe czy niepowtarzalne wino owocowe – czarna porzeczka z nalewaka.

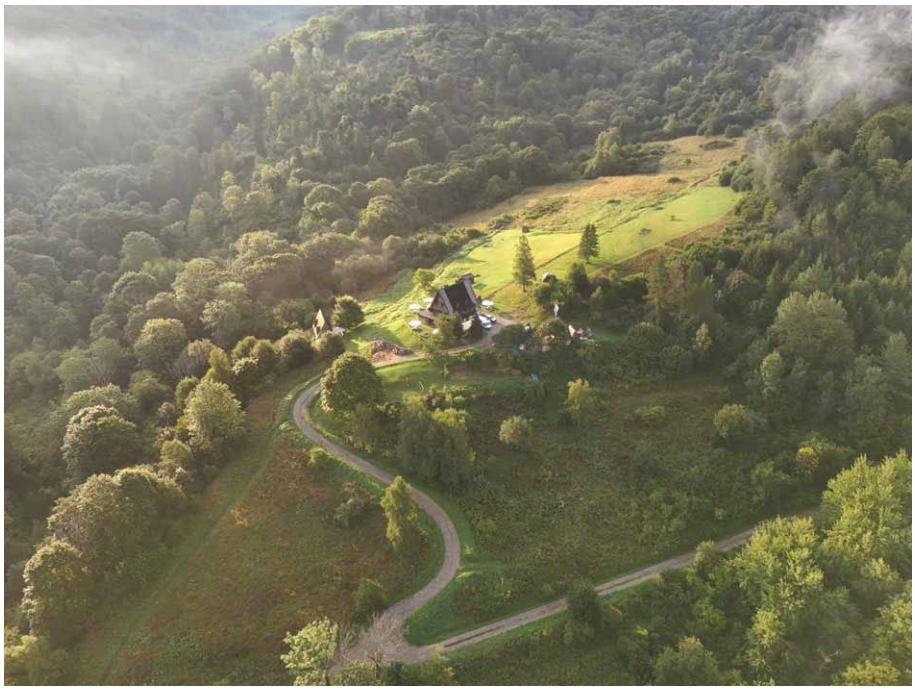

Czy bacówka oferuje wrzątek dla turystów? W jakiej cenie?

Wrzątek jest wydawany od 7.30 do 21.30 do naczyń własnych turystów. Każdy wrzuca, ile może do skarbonki.

Ostatnio sporo w bacówce wydarzeń artystycznych, między innymi koncert Michała Łangowskiego, którego znam osobiście. A jakie wydarzenia planujecie w najbliższym czasie? Czy coś już wiadomo?

Odkąd prowadzę schronisko, budowałem społeczność wokół turystyki, muzyki, wykładów czy spotkań historycznych. Przez te ostatnie lata dorobiłem się 4 stałych wydarzeń muzycznych w każdym roku. 15 sierpnia Spotkanie muzyczne z Polą U Studni. Pod koniec września trzydniowy festiwal poezji „Rezonujący", który realizuję z Jarkiem Jurkiewiczem oraz Adamem Jarząbkiem. Od 8 lat w połowie października spotykamy się na Rykowisku. To trzydniowe spotkania z poezją śpiewaną, słowem oraz ciekawymi ludźmi tworzącymi Bieszczady. Rykowisko to wspólna inicjatywa z Radkiem Barłowskim, który był inicjatorem. To on też wymyślił nazwę. Od 5 lat mamy jeszcze jeden festiwal Blusowe Połoniny, którego twarzą jest Arek Zawiliński. W tym roku rozszerzyliśmy formułę na pozostałe bacówki. Grało u nas wielu wybitnych muzyków, zespołów polskiej sceny muzycznej. Wszystko to jest przeplatane mniejszymi koncertami w każdym roku. W roku 2023 zagraliśmy 62 koncerty, obecnie to mniejsza ilość. Grali w bacówce artyści z całej Polski. Cała śmietanka wszystkich nurtów muzycznych. Po pięciu latach gazdowania wydałem składankę CD z 20 utworami części artystów, którzy u nas zagrali na przestrzeni tych lat. Obecnie przygotowuję składankę na dziesięciolecie mojego gazdowania i 50-lecie istnienia bacówki.

Rok 2026 to rok jubileuszowy, będzie obfitował w liczne wydarzenia kulturalne. 10 stycznia ogłosimy wszystkie terminy wydarzeń, które odbędą się w 2026 roku w Bacówce PTTK Jaworzec. Będzie się działo. Oj będzie. Już dziś zapraszam Państwa do zapomnianej bacówki o niezapomnianym klimacie.

Czytelnicy „Na Szlaku" z pewnością nie pozostaną obojętni na Pana zaproszenie. A może bacówka ma jakiś kalendarz stałych imprez, dzięki którym przyciąga większą ilość turystów? Przed bacówką jest bardzo dużo przestrzeni, więc może jakiś zlot posthippisów albo flanelowców? Bieszczady chyba temu sprzyjają.

Imprezy stałe, tak jak wspominałem przed chwilą, to nasza codzienność. Jest ich kilka. Na przestrzeni lat jedne się przyjęły, inne zmieniły lokalizację, a pozostałe urosły do wydarzeń kultowych, bez których turyści nie wyobrażają sobie roku. Gościłem na swojej polanie takie wydarzenia jak Zakochani w Górach dwie edycje, Bieszczadzki Grajek, ogniska z Jędrusiem Ciupagą. Obecnie mamy dwa duże wydarzenia stałe. Meta biegu górskiego Ultrabies w drugi weekend maja oraz 9. spotkanie muzyczne z Polą U Studni 15 sierpnia. To ostatnie wydarzenie przyciąga nawet 1000 odbiorców. W tym roku będzie jubileuszowe, jednak nie mogę zdradzić szczegółów. Trzon tego wydarzenia to podziękowanie dla turystów za wszystkie odwiedziny, a filarem muzycznym jest zespół U Studni. Co roku mamy też muzyczną przestrzeń: tak zwane Gazdowe Granie w plenerze w wakacyjne soboty. W nadchodzącym roku przygotowuję jeszcze kilka innych wydarzeń, ale nie mogę dziś zdradzić jeszcze szczegółów. Będzie się działo. Czy Bieszczady to przestrzeń do takich wydarzeń? Oczywiście! W Bieszczadach się dzieje, mamy wiele scen muzycznych czy festiwali. Wszystkie te informacje na temat tych wydarzeń kulturalnych można znaleźć w kwartalniku kulturalno-informacyjnym: Bieszczady Bez Przesady. Dwa razy w roku jest drukowany w nakładzie 5 tys. bezpłatnych egzemplarzy dostępnych w obiektach

turystycznych. Ponadto na bieżąco jest aktualizowany na stronie i socialach. Bieszczady stoją kulturą.

Reklamujecie się w social mediach, że jesteście czynni całą dobę. Ale czy faktycznie, gdyby trafił się jakiś zagubiony po godz.22:00 turysta, to znajdzie nocleg w bacówce?

Bacówka działa 24 h na dobę i prawie 365 dni w roku. Tylko w marcu jest okres remontowy i wtedy świadczy okrojone usługi. Bacówka z powodów przepisów ppoż. nie dysponuje glebą, posiadamy pokoje oraz pole namiotowe. Staramy się wychodzić naprzeciw turyście. Jeśli ktoś przyjdzie po 22, to go zakwaterujemy, jak mamy takie możliwości lub pomożemy znaleźć nocleg w innym obiekcie. Czasem przewozimy turystów do Smerka czy Kalnicy. Szczególnie jesienią, kiedy są festiwale i nie mamy miejsc czy w weekendy. Jednak zdarza się to sporadycznie dwa trzy razy w roku. Jednak większość noclegów jest dziś zaplanowana. Spontaniczne noclegi to może 2% i szczególnie latem.

Na zakończenie chciałem podziękować za wywiad, życzyć dużo zdrowia i wytrwałości w prowadzeniu bacówki, która, jak się przyznaję, jest jedyną pośród wszystkich karpackich bacówek, w której jeszcze nie nocowałem.

Dziękuję. To znaczy że wiele Pan traci, Bacówka PTTK Jaworzec to zapomniana bacówka o niezapomnianym klimacie. No może druga część tego hasła już dziś jest nieaktualna. Na pewno to perła Bieszczad. Zapraszam do odwiedzin i noclegu w tej urokliwej bacówce położonej w oceanie zieleni, splecionej historią i kulturą.

Z górskim pozdrowieniem Waldek, gazda Jaworca.

Sebastian Jakobschy

Schronisko pod Baranią Górą rodzinnym domem Zdzisława Gasza

W roku obecnym „Schronisko pod Baranią Górą” obchodzi 100-lecie działalności. Niby nic takiego – obecnie mamy wiele takich jubileuszy. Ten jednak jest wyjątkowy. Wyjątkowy głównie dlatego, że związany z rodziną mieszkańca Piechowic Zdzisława Gasza.

Zdzisław Gasz Członek Honorowy PTTK, PTSM i LOP wpisał się na stałe w historię rozwoju turystyki i krajoznawstwa w naszym regionie. Spod jego ręki wyszło wielu przodowników turystyki górskiej. To on zarządzał i doprowadzał do świetności poszczególne schroniska młodzieżowe.

Zdzisław Marian Gasz, syn Ryszarda i Heleny, urodził się 8 grudnia 1937 roku w „Schronisku pod Baranią Górą”. W swoim życiu zaznał wiele dobrego, ale i borykał się z wieloma przeciwnościami losu. Lata swojej młodości, kiedy to jego rodzice prowadzili schronisko, nie należały do najłatwiejszych. Najpierw były kłopoty związane z odwiedzinami żołnierzy niemieckich podczas II wojny światowej. Później, po jej zakończeniu, były kłopoty związane z wizytami oficjeli nowych władz oraz szabrowników i partyzantów. Całe szczęście, rodzina Gaszów wytrwała.

Wracając do oficjalnego otwarcia Schroniska „U źródeł Wisły”, bo tak pierwotnie się nazywało, już w 1924 roku Oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Katowicach przejął od Lasów Państwowych nieużytkowany pałacyk myśliwski Habsburgów, doprowadzając do otwarcia w 1925 roku schroniska.

Pierwszymi zarządcami zostali Karol i Teresa Kroker. To oni zainicjowali budowę szlaków turystycznych w rejonie Baraniej Góry. Były to szlaki zarówno letnie jak i narciarskie. W 1928 roku spowodowali powstanie pierwszej na Śląsku skoczni narciarskiej, na której odbyły się międzynarodowe zawody z udziałem Stanisława Marusarza i Bronisława Czecha.

W 1935 roku, po wyjeździe Krokerów, schronisko przejmuje Ryszard Gasz, do tej pory pracujący u nich. Rok później żeni się on z Heleną, siostrą Teresy Kroker. Z tego związku rodzi się dwoje dzieci: Zdzisław (1937) i Jan (1942). Rodzice Zdzisława zarządzają schroniskiem do 1952 roku. Ponieważ w 1951 roku zarząd nad schroniskiem przejmuje PTTK Cieszyn od tej pory obiektem aż do 1973 zajmowali się kolejni dzierżawcy. W 1979 roku otwarto nowe murowane schronisko, a w 1987 przeniesiono stary budynek do Wisły i przekazano na siedzibę ZO PTTK Wisła. W 1994 roku w budynku gospodarczym zwanym Goprówką utworzono Centralny Ośrodek Kultury Turystyki Górskiej PTTK „U źródeł Wisły".

Prelekcja Zdzisława Gasza pt. "Pierwsi
Zarządcy baraniogórskiego schroniska i ich
potomkowie", przygotowanego z okazji 100-
lecia otwarcia schroniska na Polanie
Przysłop pod Baranią Górą.

Zdzisław Gasz po ukończeniu studiów geograficznych na Wydziale Nauk o Ziemi Uniwersytetu Wrocławskiego w 1961 roku osiadł na stałe w Piechowicach. Tam dał się poznać jako niezwykły działacz społeczny. Organizował wiele imprez turystyczno-krajoznawczych, m.in. Jeleniogórskie Rajdy Młodzieży Szkolnej „Kuratorka", Rajd Dziatwy Szkolnej „Piechotka". Najbardziej znanym jego dziełem był Ogólnopolski Kurs Nauczycieli kandydatów na Przodowników Turystyki Górskiej.

Za swoje zasługi został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. A dzięki swoim umiejętnościom został Honorowym Przodownikiem Turystyki Pieszej oraz Turystyki Górskiej. Jest przewodnikiem sudeckim uważanym przez swoich kolegów za wzór. Chętnie dzieli się swoją wiedzą oraz wspomnieniami przypominającymi ważne wydarzenia. Oprócz tego jest autorem kilkudziesięciu książek poświęconych turystyce.

Nic też dziwnego, że z okazji 100-lecia działalności „Schroniska pod Baranią Górą" prowadzonym przez jego rodziców, miejsca gdzie się urodził, odwiedził je ponownie, przypominając gościom dawne ciężkie czasy oraz dzieląc się swoimi wspomnieniami spisanymi w wydanej książce pt. „Pierwsi zarządcy baraniogórskiego schroniska i ich potomkowie".

My, mieszkańcy Ziemi Jeleniogórskiej mieliśmy szczęście uczestniczyć w specjalnym spotkaniu zorganizowanym przez Piechowicki Ośrodek Kultury, podczas którego Zdzisław Gasz podzielił się z nami swoimi wrażeniami z podróży sentymentalnej do miejsca swojego urodzenia. Zainteresowanie spotkaniem było tak duże, że chętni ledwo zmieścili się w sali. Zdzisławowi podziękował burmistrz Piechowic pan Radosław Burchacki, a wsparcia udzielił Marcin Gajewiak – założyciel i właściciel Muzeum Historii Miedzianki i Wielkich

Wojen 1914-1945. To właśnie do tego muzeum Zdzisław Gasz przekazał swoją kolekcję szabel obejmującą egzemplarze od XVI wieku po czasy współczesne.

Marcin Gajewiak towarzyszył Zdzisławowi Gaszowi w tej niezwykłej podróży oraz uczestniczył w obchodach jubileuszu 100-lecia schroniska, które odbyły się w dniach 12-14 września 2025 roku.

Spotkanie zakończyło się życzeniami 100-lat oraz wyrazami szacunku i uznania osiągnięć naszego Wielkiego Kolegi Zdzisława Gasza.

Krzysztof Tęcza

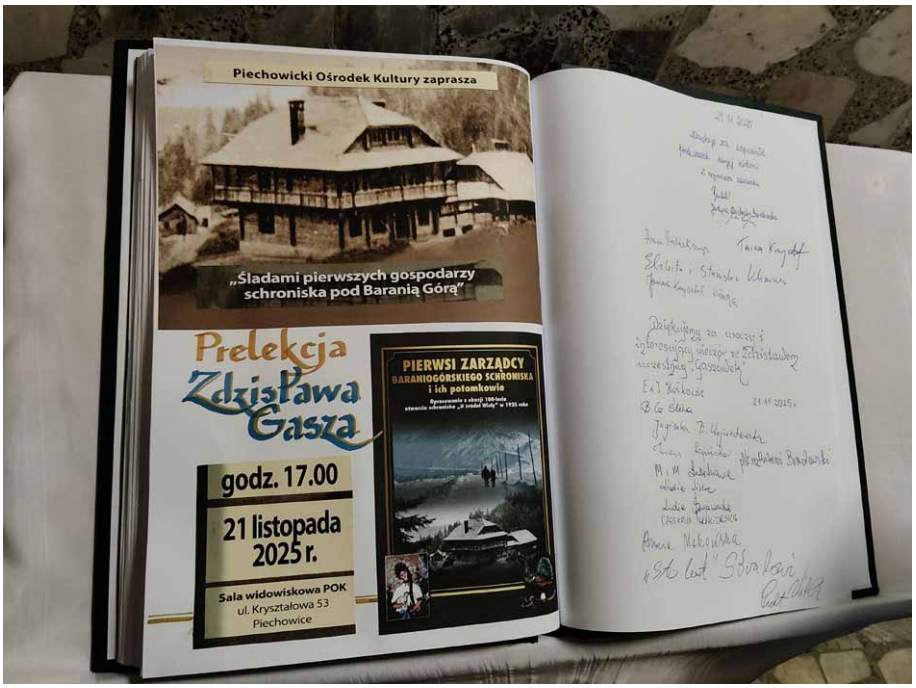

Ograbiony z dzieciństwa – wspomnienie dziesięciolatka o pacyfikacji kopalni „Wujek"

Czasy, w których przyszło nam żyć, okazały się — z dzisiejszej perspektywy — burzliwe, trudne i niebezpieczne. A jednocześnie, w jakimś paradoksalnym sensie, „ciekawe". Nie każdy „ma szczęście", by na własne oczy zobaczyć momenty dziejowych przemian. Moje pokolenie należy jednak do tych, którzy widzieli w Polsce widmo wojny domowej. Tym widmem był stan wojenny ogłoszony w grudniu 1981 roku.

Miałem wtedy dziesięć lat. I miałem też „okazję", której nie życzę żadnemu dziecku: doświadczyć pacyfikacji kopalni „Wujek" osobiście, namacalnie — wręcz fizycznie.

Grudzień 1981 — początek

Historia, jak u wielu, zaczyna się od słynnego przemówienia generała Wojciecha Jaruzelskiego — dla niektórych „krwawego Wojtka". Stan wojenny ogłoszono, gdy przebywałem u dziadków na Kokocińcu, w dzielnicy przylegającej do Starej Ligoty i Załęskiej Hałdy, tuż obok kopalni „Wujek".

To tam po raz pierwszy doświadczyłem braku kultowego „Teleranka", który dla całego młodego pokolenia stał się symbolem stanu wojennego. Telewizja miała wówczas tylko dwa programy. TVP1 latem nadawała blok dla dzieci od 9 do 12, potem była przerwa i „audycja dla rolników" z kultowym Hit the Road Jack Raya Charlesa. Świat był prostszy. Nie mieliśmy Internetu, telefonów komórkowych ani komputerów. Mieliśmy za to Adama Słodowego oraz dziadków i sąsiadów, którzy byli naszym Google'em, Facebookiem, TikTokiem i YouTubem

w jednym. To oni uczyli nas tradycji, historii i codziennej mądrości — tego, co dziś nazywa się „contentem”.

Między sąsiednimi domami biegaliśmy bez strachu. Każdy znał każdego. U każdego można było dostać coś słodkiego, miskę zupy albo sznitę z fetem. W jednej przestrzeni mieszkali robotnicy, inteligenci, rzemieślnicy, Ślązacy i gorole. Prawdziwa wspólnota.

16 grudnia 1981

Tego dnia, z powodu braku programów dla dzieci, wyszedłem — jak to się u nas godało — na plac (nie: na pole!). Mycka na łeb, szalik na szyja, ciepły mantel, rękawiczki i niezniszczalne Relaxy. Wziąłem sanki — największą zimową atrakcję.

Gdy tylko wyszedłem, usłyszałem wybuchy dochodzące z kierunku gruby. W tle dudnił dźwięk wirnika helikoptera. Niebo było nienaturalnie ciemne — nie od smogu, do którego byliśmy przyzwyczajeni, ale od dymu gazów bojowych unoszących się nad kopalnią, gdzie górnicy walczyli z komunistyczną władzą.

Najbardziej pamiętam wiatr. Szczypał oczy tak mocno, jakby ktoś sypał piaskiem z pieprzem. To nie był zwykły wiatr — to były gazy drażniące niesione na osiedla. Paradoksalnie wiatr pomagał górnikom, odwracając kierunek gazów rzucanych przez ZOMO.

Gdy po latach wszedłem do Śląskiego Centrum Wolności i Solidarności, to samo szczypanie w oczach wróciło momentalnie. Jakby czas zamknął się w pętli.

Nie mogłem zjeżdżać na sankach przy nastawni kolejowej. Gaz tak piekł, że trzeba było naciągać czapkę na oczy. Sąsiad Genek — mąż Lucy Dziura — poszedł sprawdzić, co dzieje się bliżej kopalni. Gdy wrócił, kazał mi natychmiast wracać do domu. Dzięki niemu uniknąłem widoku, którego żadne dziecko nie powinno zobaczyć.

To doświadczenie zostało ze mną na całe życie.

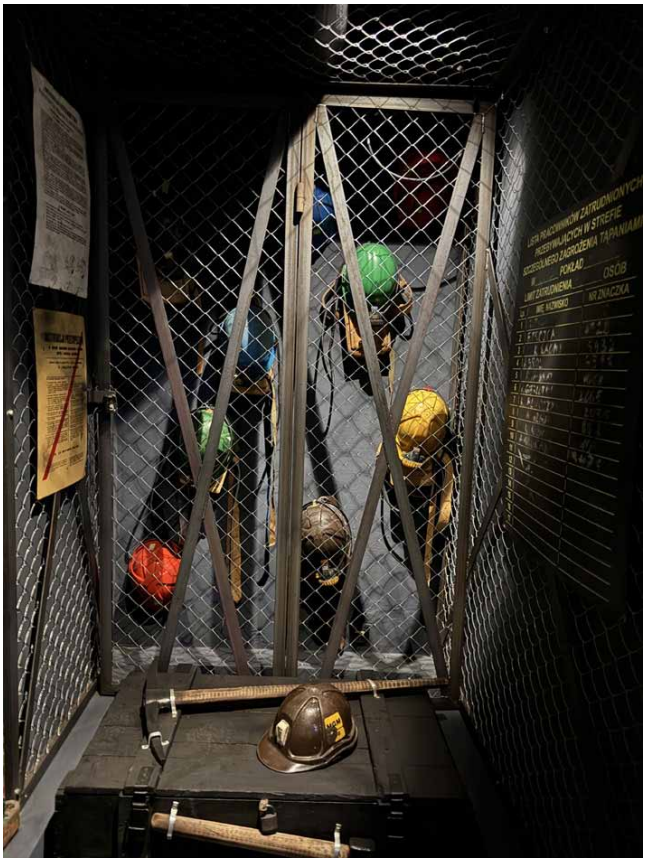

Powrót — po latach

Przyznaję: długo wahałem się, zanim wszedłem do Śląskiego Centrum Wolności i Solidarności. Mamy tendencję do omijania własnej, bolesnej historii. Ale naprawdę warto tam wejść. Wystawa pokazuje, jak wyglądał świat mojego pokolenia — świat, którego nasze dzieci i wnuki już nie znają i może nie zrozumieją, jeśli im o tym nie opowiemy.

Żyliśmy w systemie totalitarnym, ale i wtedy miały miejsce drobne okruchy normalności, które pozwalały marzyć.

Sceneria wystawy

Widzimy przedmioty, których młodsze pokolenia mogą nie rozpoznać:

- szklanki do podsłuchu
- kartki na mięso, cukier i wędliny
- kolejki do Domu Towarowego „Społem” — pamiętam, jak po lekcjach „rezerwowałem kolejkę”, bo pojawił się ser

• powielacz — dzisiejszy odpowiednik kserokopiarki
• dalekopis podający depesze niczym analogowy SMS

Na ścianach: animacje strajków, logotyp PZPR, zdjęcia z epoki. Lech Wałęsa, papież Jan Paweł II, Jaruzelski. Telewizory, telefon na dwuzłotówki jak w Domu Towarowym „Skarbek".

Potem przechodzimy do przestrzeni przypominającej chodnik kopalniany. Stoi tam czołg — taki sam, jak te, które brały udział w pacyfikacji kopalni. To jedno z najbardziej wstrząsających miejsc. To tutaj upamiętnia się dziewięciu górników poległych 16 grudnia 1981 roku.

Z rampy widzimy rekonstrukcję działań oddziałów ZOMO i wojska. Obok sala szpitalna z oryginalnymi eksponatami — w tym rentgenem ze śladami po kulach. Dalej: łaźnia łańcuszkowa, kask z przestrzelinami, mapa kopalni z minutową rekonstrukcją pacyfikacji — również tego miejsca, z którego wypuszczono gaz bojowy. Ten sam, który niósł wiatr, gdy jako dziecko bawiłem się na placu.

Są też przedmioty, którymi górnicy się bronili i którymi byli atakowani. Muzeum żyje — wchodzi się w nie jak w pamięć zbiorową czy krwioobieg historii odbudowy demokracji i wolności.

Setki akt SB, ławka z peronu lub poczekalni na ikonicznym dworcu w Katowicach, zdjęcia ofiar. A obok — ściany nadziei: papież na Muchowcu w 1983 roku, gigantyczny tłum ludzi, pierestrojka Gorbaczowa, pierwsze jaskółki zmian.

Spotkanie z historią

Podczas zwiedzania można spotkać Stanisława Płatka, jednego z przywódców strajku. To rozmowa z człowiekiem, który był w samym sercu wydarzeń. To jak dotknąć historii, która wciąż oddycha.

Na zakończenie — apel

W końcowej części wystawy znajduje się skrócona historia kopalni „Wujek". W rozmowie z panem Sylwestrem Strzałkowskim dowiedziałem się, że muzeum nadal zbiera eksponaty — rzeczy, które jeszcze niedawno lądowały na śmietnikach, a dziś mają ogromną wartość.

Dlatego w imieniu Śląskiego Centrum Wolności i Solidarności proszę:

jeśli posiadacie pamiątki z kopalń — zwłaszcza z „Wujka" — przynieście je do muzeum lub skontaktujcie się z nim. To nasze wspólne dziedzictwo. Ocalmy je.

„Gruba" to część europejskiego dziedzictwa kulturowego. Zadbajmy o nią.

Jeśli posiadasz pamiątki i chciałbyś, aby były pielęgnowane i traktowane jak skarb — zwłaszcza gdy wiesz, że młodsze pokolenie może jeszcze nie dojrzało, by je właściwie chronić — skontaktuj się z: **drem Dariuszem Węgrzynem dariusz.wegrzyn@scwis.pl tel. 32 438 79 68**

Każda ocalona rzecz jest kolejnym świadkiem tamtych dni.

Maciej Mischok

Życie na zamku (pałacu) – wspomnienia córki von Tiele-Wincklera z Mosznej

Ostatnio trafiła mi się prawdziwa gratka: książka, która powinna znaleźć się w każdej śląskiej bibliotece. To dokładnie taki rodzaj publikacji, który zasługuje na częstsze wydania i zdecydowanie większy nakład.

Życie na zamku autorstwa Wiktorii Ernst to zapis rozmowy z Evą Dorothy von Kleist-Retzow, która była córką Hansa Wernera von Tiele-Wincklera – ostatniego właściciela pałacu w Mosznej. Autorka, młoda pisarka, zaprasza czytelnika na swoisty Kaffeeklatsch, spotkanie przy kawie z dojrzałą wiekiem arystokratką, która wciąż zachowuje niezwykłą jasność pamięci, choć powoli zbliża się do setnych urodzin. W tym miejscu należy życzyć jej wiele zdrowia i siły – co z radością czynię.

Jesienią 2024 roku, podczas wizyty potomków rodziny von Tiele-Winckler w Mosznej, Eva Dorothy po raz pierwszy od lat skłoniła się ku wspomnieniom i zgodziła się na rozmowę, dzięki czemu powstał zapis będący jednym z ostatnich tak autentycznych świadectw życia arystokracji związanej z tym miejscem. Choć dla Evy Dorothy prawdziwym domem pozostała rezydencja Vollratsruhe w Meklemburgii, opowieści o Śląsku zachowała w pamięci z niezwykłą wyrazistością. To wspomnienia pełne detali, które mógł znać jedynie ktoś, kto mieszkał w pałacu i był częścią jego codzienności.

Z książki dowiadujemy się między innymi:

- jak wyglądało życie młodych arystokratów w Mosznej
- jak nazywały się lwy stojące przed pałacem
- gdzie młodzi kąpali się i jak spędzali wolny czas
- kto odpowiadał za pałacowe srebra
- jak wyglądała tułaczka rodziny z terenów wschodnich w 1945 roku

To jedne z wielu ciekawych historii zapisanych w książce.

Autorka konsekwentnie stara się dotrzeć do sedna poruszanych tematów, bada relacje między arystokracją a mieszkańcami Mosznej i konfrontuje świat wspomnień z lokalną historią. Szkoda jedynie, że w niektórych fragmentach wywiadu nie pozwoliła hrabinie rozwinąć tych wątków, które ta chciała szerzej opowiedzieć. Najprawdopodobniej wynikało to z ograniczeń czasowych, wieku i stanu zdrowia rozmówczyni. W mojej opinii ta historia aż prosi się o uzupełnienie – w czytelniku pozostaje bowiem wiele pytań.

Ogromnym atutem książki jest włączenie fragmentów pamiętnika z 1945 roku, wyjątkowo sugestywnie ukazujących dramatyczny czas końca wojny i przymusowej ucieczki arystokracji. Na wyróżnienie zasługuje także dwujęzyczna forma publikacji, choć zastanawiać może decyzja, aby polski tekst umieszczono dopiero na drugim miejscu.

Pomimo drobnych niedoskonałości jest to pozycja zdecydowanie godna przeczytania. Tego typu publikacje są niezwykle potrzebne – pomagają nam lepiej zrozumieć historię Śląska, losy jego mieszkańców i niezwykłe dziedzictwo pałacu w Mosznej. Gorąco polecam wszystkim, którzy chcą pogłębić swoją wiedzę o tym miejscu i jego dawnych właścicielach.

Maciej Mischok

SUDETY W POEZJI (37)

(Z dzieła *Sudety w poezji, wybór tekstów XVII-XX w.*, opracowanego przez Przemysława Danielewskiego oraz Piotra Dacko, Elżbietę Książek i Witolda Papierniaka, z 1986 r.)

Łucja Danielewska

DUSZNICKI KONCERT

Otwórzcie drzwi na oścież
w przerwie tego koncertu
niech za smugą preludiów
mazurków i etiud
w park zwarty zielenią
Fryderyk wybiegnie
Nawet się za nim
nie poruszy listek
taki lekki i zwinny
jak w tamtejsze czasy
stęskniony do wody
czerpanej ze źródła
dzbankiem młodziutkiej Libuszy

Powróci na salę
nim przed długą drogą
konie u progu wydzwonią staccato
da koncert nad podziw
talarów się zrzeknie
dla oczu sierocych
zroszonych biedą
Zajedzie dyliżans
uwiezie go w kraje
skąd nigdy nie wróci
ni się do kolan schyli Matce Polsce
gościniec tylko
miast siebie przyszle
preludia scherza, mazurki

Duszniki Zdrój, 7 sierpnia 1967.

Łucja Danielewska (z d. Kowalkiewicz) (1932-2004), poetka, pisarka i tłumaczka. W 1940 r. wraz z rodzicami została przesiedlona z Poznania do Warszawy. Tu uczyła się w szkole powszechnej. Po Powstaniu Warszawskim rodzina Kowalkiewiczów trafiła do obozu przejściowego w Pruszkowie i obozu koncentracyjnego we Flossenburgu. Po wojnie rodzina wróciła do Poznania (1945). Łucja ukończyła gimnazjum, zdała egzamin maturalny w liceum administracyjnym (1951). Kształciła się w konserwatorium muzycznym (do 1954). Zadebiutowała dwoma wierszami („Barwa miedzi" i „Oczekiwanie") w *Gazecie Poznańskiej*. Działała w Literackiej Grupie Niezależnej *Swantewit* (1957-65). W almanachu grupy wydała zbiór poezji pt. „Piąte strony świata". Została laureatką I nagrody za piosenkę na V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Warszawie (1955) i I nagrody w konkursie na najlepszą poetycką audycję radiową, ogłoszonym przez miesięcznik *Poezja* i *Polskie Radio* (za cykl wierszy „Otom człowiek" w 1974). Pracowała w bibliotekach i muzeach (do 1970). Była inspektorem w Zjednoczeniu Przemysłu Ziemniaczanego (do 1981), po czym przeszła na rentę inwalidzką. Działała w Narodowej Radzie Kultury i w Radzie Funduszu Literatury Ministerstwa Kultury i Sztuki. Działała też w Związku Literatów Polskich. W 1983 r. otrzymała nagrodę woj. poznańskiego za upowszechnianie kultury. W 1994 r. ukończyła studia na uniwersytecie w Poznaniu, uzyskując tytuł magistra filologii serbskiej i chorwackiej. Wydała tomy poetyckie: „Krótki cień południa" (1972), „Antyfony barowe" (1975), „Antyfony domowe" (1977), „Antyfony malinowe" (1977), „Fraszki" (1977), „Liryki karkonoskie" (1977), „Rajskie podwórko" (1979), „Dom" (1980), „Fraszki na Laszki" (1980), „W sercu" (1980), „Pieśni jaskółcze" (1982) „Żebro Adama" (1983). Prócz poezji pisała reportaże i wspomnienia. Tłumaczyła z języków serbskiego, chorwackiego, bułgarskiego i węgierskiego. Po jej śmierci ustanowiono w 2005 r. konkurs poetycki jej imienia *Słowo jak chleb*.

Wybrał: Janusz Fuksa

***NA SZLAKU* - magazyn turystyczno-krajoznawczy**

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK **od 1987 r.**
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.

Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: Piotr Dacko
Redakcja techniczna: Piotr Dacko
Korekta: Zofia Wiatrak
Webmaster: Piotr Dacko

Stale współpracują: Juliusz Wysłouch, Krzysztof Tęcza, Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa, Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Pik, Jacek Mielcarek, Sebastian Jakobschy, Mirosław J. Barański

ISSN 1230-9931

Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.